

GRANICA I ZIELONI

Granice we wszystkich państwach są bardziej strzeżone, niż jakiegokolwiek punkty wewnątrz państw, lecz nigdzie bacznosc nie dochodzi do tak potwornych rozmiarów, jak w Rosji, nigdzie kłopoty graniczne każdego mającego z tym styczność nie są tak uciążliwe i przykre, jak w państwie cara. Azjatycka tradycja oddzielania się murem chińskim od wszelkiej cudzoziemszczyzny, a co za tym idzie, utrudnianie wejścia wszystkiemu, co przekłętą Europą i cywilizacją trąci, niełatwo daje się wyplenić, tym bardziej, że postęp w społeczeństwie, trymanym w żelaznych kleszczach caratu, idzie wolno złotym krokiem.

Pilnowanie granicy poruczone jest w Rosji «zielonej» dykasterii agentów i sług carskich. Zielonymi zwiemy ich dlatego, że ci mandaryni oraz ich słudzy mają wypustki zielone na czapkach oraz ramionach i rękawach swych mundurów. Poza zielonymi wielką rolę na granicach odgrywają i błękitni aniołowie-stróże caratu — żandarmi oraz różni akcyznicy i policjanci, ale strzeżenie granic carskiego imperium jest specjalnością zielonych.

Dziela się oni na wojskowych i cywilnych — tzw. straż pograniczną i komorowych czyli celników. I jedni, i drudzy są pod rozkazami ministra finansów carskich, który nosi godność szefa straży pogranicznej, a główną ich siedzibą i terenem działalności jest pas pograniczny państwa.

Ten pas pograniczny jest podzielony na trzy linje. Pierwsza — tuż nad granicą, druga, tzw. linia kordonów, — w oddaleniu 1—2 km. od granicy i wreszcie trzecia — rzecz zupełnie niesłychana w żadnym państwie — nie ma już nic wspólnego z pojęciem linii, bo obejmuje sobą stukilkudziesięcio-kilometry pas ziemi wewnątrz kraju. Jak szeroką jest ta trzecia linia, można sądzić z tego, że w Królestwie jedynie gubernia siedlecka jest wolną od bacznosci zielonych, a połowa Litwy wchodzi w zakres ich działania.

Wobec szerokości tej trzeciej linii muszę ją uwzględnić i zająć się nią osobno. Natomiast obecnie zatrzymam się jedynie na pierwszych dwóch, stanowiących właściwy pas pograniczny i będący pierwszą przeszkodą dla wszystkiego, co wbrew prawu carskiemu wkracza na terytorium knutowładnego pana, a więc i dla bibuły.

Pierwsza linia zielonych spełnia swe obowiązki w sposób następujący: tuż przy granicy, zastosowując się do wszyst-

kich jej załomów i zakrętów, są rozstawieni żołnierze z karabinami mniej więcej w odległości 200 do 600 kroków jeden od drugiego. Naturalnie, w miejscowości równej, gdzie oko daleko sięga, posterunki są rzadsze, tam zaś, gdzie granicę upiększają pagórki, lasy i gaje, a jeszcze bardziej, gdzie do granicy zbliżają się zabudowania, żołnierze są rozrzućeni gęsto. Przechadzają się oni nad granicą, siedzą, oglądają widoki, stanowiąc niezbędną, charakterystyczną plamkę na pejzażu granicznym. Zadaniem ich jest pilnować, by żadna żywa istota, naturalnie, oprócz ptaków, nie przeszła przez granicę ani w jedną, ani w drugą stronę. Cały ruch tych istot jest przez to skierowywany do określenia punktów, gdzie dozór graniczny jest niejako zgęszczony i gdzie wszystko: ludzie i ich pakunki, towary i ich opakowanie podlega odpowiedniej rewizji oraz może otrzymać pozwolenie na przekroczenie granicy. Są to komory i przykomórki.

Te punkty ze zgęszczonym dozorem granicznym pracują tylko we dnie, nocą zaś, z wyjątkiem miejsc, gdzie granicę przecina kolej, działalność zielonych ustaje i granica na całej przestrzeni jest zamknięta całkowicie. Na noc ściągają również żołnierzy z posterunków nadgranicznych. Naturalnie, robi się to nie z ufności, że tacy lub inni przestępcy praw carskich noc spędzają spokojnie w łóżku, lecz dlatego jedynie, że do ciemności nocnej pierwsza linia stosuje inny system obrony granicy. Rozsypuje się ona po tzw. w języku «zielonych» — sekretach. Sekret polega na tym, że taki drab z karabinem, zamiast jako bohater stać na widoku, zaczaja się, jak kot, gdziekolwiek na przypuszczalnej drodze przekraczających nielegalnie granicę.

Druga linia, czyli tzw. linia kordonów, również nie próżnuje. Przecina ona, jak powiedziałem wyżej, wszystkie drogi, idące od granicy, w oddaleniu jednego, dwóch, bardzo rzadko więcej kilometrów.

Wysyła ona przede wszystkim konne patrole w różne strony, a oprócz tego ma za zadanie rewidowanie wszystkiego, co się przewija przez drogę, o ile to nie jest zaopatrzone legitymacją z pierwszej linii. Tutaj też na przecięciu jakiegokolwiek drogi stoją koszary dla oddziałków zielonych, zwane kordonami.

Cywilni «zieloni» operują w komorach i przykomórkach. Zadaniem ich jest, jak wspomniałem wyżej, rewidowanie rzeczy podróżnych, nakładanie i odbieranie cła od towarów importowanych oraz wizowanie paszportów przejezdnych. W większych jednak punktach, gdzie się przewija poważniej-

sza ilość osób, kontrola nad ludźmi, przekraczającymi granicę, jest oddana w ręce żandarmów. Tych komorowych urzędników, wobec formalistyki biurokracji rosyjskiej i jej niedołęstwa, jest całe mnóstwo. W każdym miasteczku nadgranicznym można spotkać kilku, w większych zaś miasteczkach kilkunastu i kilkudziesięciu zielonych cywilusów, ugwiażdżonych i umundurowanych, stanowiących w okolicach nadgranicznych razem z oficerami straży pogranicznej pijaczą i hulaszczą kompanię.

Z tego opisu wnosić można, ile sił, środków i energii zużywa państwo rosyjskie na ochronę swej granicy! Granica, upstrzona komorami, najeżona bagnetami i urozmaicona patrolami konnymi wygląda nadzwyczaj okazale i musi przejmować strachem każdego śmiałka, który odważy się wbrew zakazom carskim przekraczać ją sam lub z zabronionym towarem. W istocie wywiera ona silne wrażenie!

Pamiętam żywo swoje pierwsze zetknięcie się z granicą, gdy po powrocie z wygnania jechał odwiedzić ojca i rodzeństwo, mieszkających w owe czasy w majątku na pograniczu pruskim. Część drogi, którą miałem do zrobienia, leżała tak blisko granicy, że do słupów granicznych od drogi było zaledwie kilka kroków. Droga idzie w tym miejscu lasem i musiałem ją przebywać późnym wieczorem. Gdyśmy się wlekli wolnym krokiem po piaszczystej drodze, zdaleka z lasu dobiegło do nas echo wystrzału karabinowego. Po chwili na drodze zadudniało i kilka uzbrojonych konnych postaci minęło nas w galopie. Następnie spotkałem znowu kilku konnych, którzy czegoś szukali na drodze, oświetlając ją latarką. Jeden z nich podjechał do nas i nieco grubiańskim tonem zapytał:

— *Otkuda?* (skąd).

— *Z Jurborgu jadę do Taurogów* — odpowiedziałem.

— *W Tawrogi!* — I, spojrzawszy na konie i zaprząg, dodał: — *Pomieszczyk?* — co w języku rosyjskim oznacza pozycję socjalną, nazywaną w Galicji «obszarnik».

— *Tak* — rzekłem — *czego chcecie?*

— *Niczawo! Kontrabandu łowim, pojeżdżajcie!*¹⁾

Woznica mój, tęgi, barczysty Żmudzin, splunął pogardliwie i zaciął konie. Po chwili rozległy się znowu strzały.

Trafiłem widocznie na niespokojną chwilę, lecz przyznam się: te strzały nocne w lesie, te pędzące patrole i uwiłanie się po drodze uzbrojonych ludzi sprawiły na mnie silne wrażenie. Wyglądało to na małą wojnę. Tym czasem spotka-

¹⁾ Nic! Kontrabandę łapiemy, jedźcie!

liśmy raz jeszcze konnych z latarkami, szukających czegoś na drodze, i mój Żmudzin raz jeszcze splunął energicznie i odwróciwszy się do mnie, flegmatycznie mówił:

— Psy, śladów szukają! Psy, czyste psy!

— Śladów? — pytałem zdumiony. — Ależ na drodze tych śladów jest mnóstwo!

Żmudzin nie mógł mi tego wytłumaczyć, zbyt źle mówił po polsku, a ja znowu nie umiałem po litewsku.

Wkrótce jednak wytłumaczył mi to jeden z żołnierzy tej samej straży pogranicznej. Spotkałem się z nim w karczmie, przy której zatrzymaliśmy się, by dać koniom odetchnąć. Poczestowany papierosem i kieliszkiem wódki, zaczął mi opowiadać o swoim życiu.

— Ciężka służba, psia, ani dniem, ani nocą spoczynku nie ma! We dnie na linii, a w nocy w sekretach. I dobrze, kiedy ładna pogoda, a w deszcz i wiatr w lesie straszno i hałas taki od szumu drzew, że nic poza tym nie słyhać, no, i przespać też się chce. A tu pilnuj i pilnuj, jak ślad jaki na ciebie, a nie złapałeś, to cię nie pogładzą, albo jak pogładzą, to zębom nie bardzo zdrowo od tego głośkania, — dodał, śmiejąc się z własnego dowcipu.

— Jakie ślady w lesie? — pytałem.

— Nie w lesie, a na drodze, a droga na noc zabronowana, więc kto wpoprzek drogi od granicy przejdzie, ślad zostawi. A tam starsi z latarką po drodze biegają, gdzie ślad jest, zaraz do najbliższego sekretu: ślad na ciebie był, gdzie kontrabanda? Czorty! — skarżył się mój żołnierz.

W istocie, gdy się przypatrzyłem potem, dostrzegłem, że «czorty» drogę zabronowali tak, że każdy przechodzień zostawiał na piasku wyraźny odcisk swej stopy.

— Cóż ty robisz — indagowałem dalej żołnierza, — gdy na ciebie wyjdzie kontrabandzista?

— Wiadomo co. Strzelam. Muszę niby przed tym krzyknąć «stój», ale gdzie tam krzyżeć, on ucieknie, on ten las zna, jak kieszeń własną. Teraz to lepiej, — dawniej, jak ciebie taki diabeł już minął, to lepiej nie strzelać. Jak trafisz w plecy, to cię karali, bo karabin był niby do tego, żeby się bronić albo dać sygnał. A teraz nie żartuj, w plecy czy w łeb — to jedno. Prawo takie jest! — mówił z dumą i zadowoleniem.

— O! i dzisiaj, słyszał pan? — mówił dalej — pewnie którego diabła na tamten świat wyprawili. Wachmistrz nasz chodził na tamtą stronę dniem, przebrany był. Kazał dziś czekać kontrabandy, słyszę — dużo mieli prznosić nocą. Pewno złapali, zarobią dobrze, szczęście mają.

Trzeba bowiem wiedzieć, że rząd zachęca swych agentów do łapania kontrabandy w ten sposób, że każdy, kto wskaże lub złapie przeszwarcowany towar, otrzymuje trzecią część sumy, otrzymanej ze sprzedaży tego towaru.

Drugą trzecią część składa się do banku państwa i w końcu roku sumę całą, otrzymaną z całego okręgu celnego, dzieli się pomiędzy urzędników komorowych i oficerów straży pogranicznej. Wreszcie reszta idzie do skarbu. Naturalnie, za rzeczy, które nie mogą być sprzedane, w rodzaju np. bibuły, rząd wydaje osobną nagrodę.

Z tego małego opisu wnosić można, że pogranicze rosyjskie jest stale na stopie wojennej. Więcej, tam stale wojna się toczy, rzeczywista wojna — ze szczękiem broni, z wystrzałami, zasadzkami, fortelami wojennymi i, co najsmutniejsza, z ofiarami w ludziach. Z jednej strony walczy rząd, z drugiej wszystko, co w Rosji jest kontrabandą. Nie trzeba myśleć, że tą kontrabandą są tylko towary, że je tak nazwę, polityczne. Przeciwnie, przede wszystkim są to najzwyczajniejsze wartości użytkowe — spirytus, cygara, koronki, zegarki, chemikalia itd., słowem rzeczy, produkowane za granicą i obłożone przez rząd wysokim cłem. Kontrabanda polityczna stanowi w tej powodzi zwyczajnego szwarcownictwa znikomo małą część i dopiero w ostatnich czasach rząd zwrócił na nią baczniejszą uwagę, nie stosując zresztą względem niej żadnych nowych środków obrony, a walcząc z bibułą tak samo, jak walczy z cygarem lub płóciennikiem.

Kto jednak jest zwycięzcą w tej wojnie? Cyfry, przytoczone w poprzednim rozdziale, dowodzą, że w tym wypadku zwycięzca nie silniejszy. Lecz w jaki sposób to się odbywa? Przypuszczam, że każdy z nieznających dobrze stosunków pogranicznych przedstawia to sobie tak, jak ja to sobie wyobrażałem na razie po owej nocy, spędzonej w nadgranicznej drodze. Gdy myślałem o transportach bibuły, śniły mi się przekradania się przez lasy, tajemnicze szmery borów, niespodziane spotkania ze strażą pograniczną itp. rzeczy, przypominające nieco opowiadania Coopera lub Mayne-Reida.

Lecz dosyć jest przemieszkąć na pograniczu czas pewien, by się pozbyć tej romantyki. Co do mnie, zacząłem się jej pozbywać bardzo prędko. W kilka dni po opisanej drodze w młocarni u ojca coś się zepsuło. Okazało się, że jest to drobnotka, jakies śrubki, które się połamały przy robocie. Wiejski kowal nie mógł tego naprawić, do miasta było daleko, natomiast granica i pruskie miasteczko były blisko. Byłem przy

tym, jak ojciec otrzymał od kowala odpowiedź, że naprawa przechodzi jego uzdolnienie fachowe, i jak ojciec rzekł:

— Trzeba posłać do Prus.

Sądziłem, że ojciec pošle konie za granicę i zaproponowałem, że mu to załatwię, byle mi wystarał się o półpasek.

— Eh, nie warto, mnie to potrzebne jak najprędzej, pošlę Bartłukajtisa szwarcować, ten mi jutro przyniesie.

— Więc on te śrubki będzie szwarcował?

— Naturalnie! — odpowiedział ojciec, — i tybyś je szwarcował, bo przecie z tymi głupimi śrubkami nie pójdziesz do urzędu celnego. Oho! zaczep ich tylko, zapiszą stopy papieru z powodu tych paru śrubek — i ja, i oni stracimy na to mnóstwo czasu. Po co to komu potrzebne! A Bartłukajtis i tak chodzi nieledwie codzień do Prus po spirytus. Przy okazji załatwi i mój interes ze śrubkami.

Tak się też stało. Bartłukajtis nazajutrz już dostarczył nowe śrubki, zrobione przez porządnego pruskiego rzemieślnika.

Wkrótce przekonałem się, że «głupie śrubki» nie są wyjątkiem. Czy we dworach, czy w chatach włościańskich wszystkie przedmioty, będące produktami fabryk i warsztatów, pochodzą z Prus i doszły rąk swych właścicieli bez pośrednictwa urzędów celnych. Oprócz tego raz po raz spotykałem takich Bartłukajtisów, chodzących codzień do Prus i załatwiających te lub owe interesy swych współobywateli. Prusy — to obce państwo, oddzielone od imperium cara podwójną linią straży pogranicznej — wciskało się najwyraźniej w posiadłości rosyjskie, mącąc czystość idei ściśle odgraniczzonego państwa. Była to Rosja, lecz pod wielu względami i Prusy.

Ba, gdyby tylko Prusy! Rozpytując okolicznych chłopów, dowiedziałem się, że znają oni Amerykę daleko lepiej, niż swój kraj rodzinny. Wielu chłopów żmudzkich nie wiedziało nic o Wilnie i Kownie, nawet o swym powiatowym miasteczku Rosieniach. Natomiast od niejednego usłyszałem opis Nowego Jorku lub Chicago, podróży po morzu i warunków pracy w fabrykach i kopalniach amerykańskich. Za każdym razem pytałem chłopą, czy brał paszport na wyjazd z kraju i najregularniej, zamiast odpowiedzi, widziałem pogardliwe wzruszenie ramion, mające oznaczać: «Ktoby się tym głupstwem zajmował!» I w tym więc wypadku granica z jej paszportami, cłami i kłopotami nie istniała dla tych ludzi.

Później w swoich wędrówkach zwiedziłem pogranicze w różnych miejscach. Bywałem na granicy pruskiej i austriackiej, i tam, gdzie granica jest mokrą, tj. gdzie granicę stanowi

rzeka lub strumień, i tam, gdzie na granicy są miasta lub miasteczka, czy też, przeciwnie, stanowią ją mało zaludnione bory — wszędzie spostrzegalem ten zanik granicy dla mieszkańców pogranicznych, tę poufałość i maltretujący stosunek względem surowych, nieledwie wojennych przepisów granicznych.

Powszechne chodzenie ścieżkami nieprawnymi, przestępstwa, chociaż drobne, lecz epidemiczne i stale się powtarzające, wyrobiły pewnego rodzaju solidarność w mieszkańcach pogranicza. Istnieje tam nieustanny spisek, chociaż niezorganizowany i milczący, lecz pomimo to obowiązujący do solidarności wszystkich przeciw prawu i przeciw tym, co pilnują granicy. Naturalnie, taka solidarność ogromnie ułatwia wojnę z «zielonymi».

Jeden z towarzyszków, który dłuższy czas prowadził na pograniczu interes partyjny, opowiadał mi o faktach, dowodzących poczucia tej solidarności.

— Razu pewnego — mówił mi — najalem konie, by odwieźć kilka paczek bibuły do miasteczka, nieco od granicy oddalonego, skąd inni towarzysze mieli je zabrać. Nie lubię włóczyć się po drogach nadgranicznych późnym wieczorem lub w nocy — nieraz strażnicy, nie widząc, z kim mają do czynienia, przypadkowo mogą zatrzymać tych, kogoby we dnie nie ruszyli. A tu spóźniłem się nieco z opakowaniem bibuły, więc śpieszyłem. Jak na nieszczęście, trafił mi się woźnica pijany. Na wszelkie moje perswazje, by jechał prędzej, mruzczał coś niezrozumiałego, a wreszcie, gdy bryczka zawadziła o jakiś kamień na drodze, wypadł z wozu. Był dobrze strąbiony, więc, podnosząc się z ziemi, co chwilę przewracał się znowu. Zirytowałem się wreszcie.

— No, słuchajcie! — rzekłem. — Leżcie sobie tutaj i śpijcie, ja pojedę do N., a wracając, zabiorę was.

Chłop się oburzył na taką propozycję.

— Nie zostawi mnie pan tu, kiej psa. I ja katolik i pan katolik, i ja kontrabanda i pan kontrabanda.

Mrowie mię przeszło po skórze na takie dictum. Chłop wiedział, że się zajmuję przemycaaniem czegoś i byłem niejako w jego ręku. Chciałem się jeszcze wykręcić i groźnie zawołałem:

— Co ty pleciesz?! Jaka kontrabanda?

Chłop śmiał się na całe gardło. Wstał wreszcie i gramoląc się na wóz, szturchnął moje pakunki.

— A tu co? Kontrabanda! — mówił tryumfująco. — Kontrabanda taka dobra, jak i ta!

Odgarnął trochę siana i pokazał swoją kontrabandę. Było tam kilka paczek cygar i jeszcze jakieś zawiniątko.

Chłop wreszcie zaciął konie, pijanym głosem zaczął nuć jakąś zawadiacką piosnkę i od czasu do czasu odwracał się do mnie ze śmiechem.

— I ja kontrabanda, i pan kontrabanda! — powtarzał z pijackim uporem.

Kiedym wracał do domu z tym samym chłopem, już wytrzeźwionym, ciągnąłem go za język, by mi wyjaśnił, skąd doszedł do przypuszczenia, że woźę kontrabandę. Chłop poważnie odpowiedział:

— Niech pon się nie boją! Wszyscy tu kontrabandę wożą, a pan często jeździ z pakunkami, każdy wie, co to znaczy! Ale mnie co do tego — dodał, uśmiechając się, — wiecie pan kontrabandę, czy nie. Ja mam zarobek, a przy panu i swoje rzeczy bezpieczniej przewiozę.

— Innym razem — opowiadał mi dalej towarzysz z granicy — miałem do przewiezienia bibułę i poszedłem nająć konie. Po drodze spotykam włościanina, z którym nieraz już jeździłem. Pytam go o konie. Chłop podrapał czuprynę i wreszcie pyta:

— Pon tak, jak stoi, czy z rzeczami?

— A co? — pytam.

— A bo cosik te juchy bardzo niespokojne dzisiaj, — mówił, pokazując na drogę, po której w tej chwili jechało kilku zielonych wojaków. — Chyba boczną drogą pojedziem.

Naturalnie, w obydwóch wypadkach chłopci nie podejrzewali nawet, że tą kontrabandą była bibuła.

Powszechna konspiracja przeciw zielonym rycerzom, jak powiedziałem, utrudnia ogromnie ich pozycję w walce z kontrabandą. Lecz bodaj nic tak bardzo nie zacięra granicy państwowej, nic bardziej się nie przyczynia do wytworzenia między państwowych pojęć na pograniczu, jak ugoda zielonych z kontrabandą oraz stałe przechodzenie poszczególnych zielonych do obozu spiskowców.

Przed wszystkim każdy z zielonych, równie dobrze, jak i każdy mieszkaniec pogranicza, wie o tym, że za słupami granicznymi jedne towary są tańsze, inne lepsze. Często łatwiej jest za kordonem o dobrego rzemieślnika lub lekarza, a gdy, co również nierzadko się zdarza, po tamtej stronie granicy jest blisko miasto lub większe miasteczko, łatwo tam o zabawę i różne wygody, których brak po tej stronie. Naturalnie, głupim by był ten, kto by z takich udogodnień nie korzystał. I każdy zielony korzysta z nich w większym nawet stopniu,

niż przeciętny mieszkaniec pogranicza, w większym dlatego, że będąc sam stróżem prawa, ma zapewnioną bezkarność przestępstwa.

Następnie, wśród zielonych kwitnie, jak w ogóle wśród urzędników rosyjskich, gatunek ugody z otoczeniem, nazwany przez znakomitego satyryka rosyjskiego, Szczedryna, koniecznym dopełnieniem i poprawką samowładczej konstytucji, — łapówka i przekupstwo. Po rosyjsku komory celne nazywają się «tamoźnią». Otóż jeden Żydek, zapytany, co właściwie oznacza to słowo, mrugnął oczkami filuternie i wyjaśnił odrazu filologiczne pochodzenie «tamoźni» od polskich słów — tam można.

W istocie — tam można! Wysokie cła, uciążliwe, długie i kosztowne formalności przy załatwianiu czynności celnych, niewielkie względnie pensje urzędników oraz powszechność łapówek w Rosji wytwarzają takie położenie rzeczy, że strony interesowane wywierają silne parcie na urzędników celnych w kierunku przekupstwa i zieloni oprzeć się temu nie mogą. Liczba pilnujących praw granicznych w ten sposób się zmniejsza, liczba zaś spiskowych wzrasta.

Prosty stupajka zielony, żołnierz, wchodzi w umowę z przemysłowcami i pomaga sam przy przenoszeniu kontrabandy, dając nawet w zastaw własny karabin. Urzędnik celny konspirował z ekspedytorami, ułatwiając im formalności celne lub zamykając oczy na oszustwa ekspedytora. Oficer straży pogranicznej prowadzi handel kontrabandą, a raz po raz znajduje się zielony, uprawiający sam kontrabandę, jak rzemiosło, na własną rękę. Wszystko to wytwarzać musi pewną zależność od otoczenia, które, jak widzieliśmy wyżej, całe, bez wyjątków, uprawia kontrabandę bezustannie.

Zależność ta wzrasta jeszcze bardziej przy stosunkach towarzyskich mieszkańców pogranicza z zielonymi.

Wobec interesu, który przy takich stosunkach łatwiej się ubija, cywilni mieszkańcy chętnie znajomią się z zielonymi, zobowiązując ich to poczęstunkiem, to grzecznością, to prezencikiem, od którego wymówić się niepodobna. Słowem, wyzyskując wszystkie możliwe słabe strony stróżów prawa i porządku, otoczenie, złożone z kontrabandzistów zawodowych i przygodnych, powoli asymiluje ich z sobą i zmusza, jeśli nie do współdziałania, to przynajmniej do przymykania oczu na przestępstwa graniczne.

Jeśli organizacja zielonych jest tą skałą, na której jest zbudowana obrona granicy, to przyznać trzeba, że jest ona bardzo kruchą i chwiejną oporą. Nie jest to granit, lecz miękkie

wapień, na który dezorganizujące czynniki życia pogranicznego działają, jak wiatr lub fale wody na tego rodzaju geologiczną formację. Kruszy się ona, wietrzeje i rozsypuje się, otwierając drogę dla nacierających żywiołów.

Tym żywiołem jest ludność pograniczna, z którą zieloni, nie mogąc poradzić, wchodzą w ugodę. Widzieliśmy, że ta ludność przy zadawaniu swych potrzeb nie kępuje się wcale granicą państwową. Z chwilą więc, gdy nielegalne wydawnictwa stają się potrzebą tej ludności, i do nich stosuje się ogólne prawo życia pogranicznego — zanik granicy. Przechodzą ją one równie łatwo, jak pruskie cygaro lub tandeta wiedeńska, kupiona na rynku krakowskim.

Takie powolne, po kropelce niejako, przesiąkanie bibuły z księgarń zagranicznych do rąk jej konsumentów w Polsce pod caratem tłumaczy nam możliwość istnienia pewnej, mniejszej, części spotrzebowywanej rok rocznie bibuły. Bo przecie, rzecz prosta, ten żywiołowy i powolny proces przesiąkania nie może wystarczać organizacjom, potrzebującym dziesiątków tysięcy egzemplarzy bibuły, wymagającym stale świeżego jej dopływu. Wreszcie te kropelki, będąc nawet licznymi, nie mogą być ujęte w system, nie mogą być kierowane i regulowane, jak to można zrobić ze stałym strumieniem. Niewątpliwie jednak opisane wyżej podmycie granicy stanowi poważne ułatwienie dla przebicja jej przez taki właśnie strumień bibuły.

Dosadne rosyjskie przysłowie mówi: «Byłoby błoto, czerti najdutsia» (niech będzie błoto, a czarci się na nim znajdą). Stosunki graniczne są właśnie tym błotem, na którym z pewną łatwością czarci przeciwpaństwowi swe harce wyprawiać mogą.

Względnie najłatwiejszym jest przewiezienie jednorazowe większej ilości bibuły. Do tego najczęściej wystarcza towarzysz, niepozbawiony sprytu i mający stosunki gdziekolwiek na pograniczu. Mówię wyraźnie «gdziekolwiek», bo wszędzie te stosunki są mniej więcej do siebie podobne. Oto, jak mi opowiadał jeden z towarzyszków o swojej próbie pod tym względem:

— Granice partyjne — mówił mi — były w tym czasie zawalone robotą, a partii chodziło o przemycenie na termin rosyjskiej bibuły, do czego się była zobowiązała. Poruczono ten interes mnie, jako pochodzącemu z pogranicza i mogącemu zatem prędzej, niż kto inny, wynaleźć dziurę dla transportu. Co prawda, nie byłem w swej ściślejszej ojczyźnie już dosyć dawno, lecz podjąłem się tego, bo liczyłem na mego kuzyna,

który mieszkał na pograniczu, gdzie ojciec jego dzierżawił większy jakiś majątek.

W istocie rachuba moja nie okazała się mylną. Zaraz prawie po przyjeździe do swego krewniaka zaszła rozmowa o nielegalnych książkach, a to z powodu, że na stole mego kuzyna znalazł parę wydawnictw galicyjskich, tyjących się powstania 1863 r.

— Skąd je masz? — zapytałem.

— Zabawne skąd — odparł, — z zagranicy.

— Szczęśliwy, że możesz tak łatwo mieć książki zakazane, tam, w Warszawie, znam wielu ludzi, którzy drogoby dali, by mieć takie książki.

Kuzyn mój był chłopak dosyć lekkomyślny, więc nie trudno mi było przekonać go, że musi mi pomóc w przetransportowaniu pewnej ilości książek. Nie przyznałem mu się, że będą to książki rosyjskie, bo prawdopodobnie spotkałbym się z odmową. Obawiał się tylko, by ojciec jego, człowiek, odstraszone gruntownie od wszelkiej nielegalności jeszcze w 1863 r., nie dowiedział się o tym jego figlu.

Zacząłem go rozpytywać o stosunki graniczne, o jego znajomości wśród zielonych oraz wśród mieszkańców pogranicza z tamtej strony. Z rozmowy dowiedziałem się, że mój krewniak senior, chociaż bał się rzeczy nielegalnych politycznie, pod względem zwyczajnej kontrabandy chadzał ścieżkami niezupełnie legalnymi. Mianowicie, opłacając komorowych urzędników, sprowadzał z zagranicy bez cła wszystkie narzędzia gospodarskie i świeżo nawet obijał powozy sukniem szwarcowanym. Naturalnie, tej drogi nie można było użyć dla bibuły. Natomiast okazało się, że krewniak junior jest w dobrych stosunkach z oficerem straży pogranicznej, porucznikiem S., z którym zbliżyło go wspólne zamiłowanie do myślistwa. Zielony porucznik bywał z nim parę razy za kordonem i przynosił mu stamtąd przybory myśliwskie.

— Czy rewidowano wam rzeczy — pytałem — przy powrocie z za kordonu?

— Rzeczy nie mieliśmy — odpowiedział mi kuzyn, — ale nie zaglądanego wcale do powozu.

Na tym oparłem swój plan. Ułożymy pod jakimś pozorem wspólną z p. porucznikiem wycieczkę za kordon, bez jego wiedzy naładujemy bibułę do pudła pod siedzenie bryczki i pod jego opieką przewieziemy ją do domu kuzyna. Omówiliśmy wszystkie szczegóły. Chodziło o ukrycie bibuły przed oczami nie tylko p. porucznika, który miał nam służyć jako piorunochron, ale i domowego otoczenia mego kuzyna.

Postanowiliśmy więc w czasie wycieczki za kordon nie brać z sobą furmana i manewrować tak, by przyjechać do domu późnym wieczorem, gdy łatwiej jest wynieść niepostrzeżenie paczki z bibułą z bryczki do pokoju.

Mój kuzyn w parę dni potem wyruszył za kordon i wyprawił listy do towarzyszków zagranicznych, którym poleciłem wysłać odpowiednią ilość bibuły na imię sklepikarza w miasteczku zakordonowym, z którym dom mego kuzyna utrzymywał stałe stosunki. Bibuła miała swym opakowaniem imitować sukno. Specjalny zaś liścik do mego kuzyna miał być oznaką, iż owe sukno już jest do zabrania.

Wkrótce poznałem się tu z naszym piorunochronem. Poznanie nastąpiło w miasteczku pogranicznym, odległym od siedziby mego kuzyna o parę kilometrów, w knajpie, uczęszczanej przez pograniczną arystokrację, do której zaczęliśmy zaglądać, chcąc nadać pozory wypadkowości naszemu spotkaniu z p. porucznikiem.

— Oto on! — szepnął mi razu pewnego mój kuzyn, wskazując oczami na młodego, barczystego oficera, który zamaszycie z brzękiem ostróg wchodził do knajpy.

Porucznik okazał się wesołym towarzyszem przy kieliszku. Opowiadał nam z wielkim ferworem o swych sukcesach myśliwskich i nadzwyczajnej celności swego oka. Rozmowa kręciła się koło polowania i mój kuzyn zaczął się skarżyć, że wobec zbliżającego się jesiennego sezonu myśliwskiego zabraknie mu gilz ładunkowych do dwururki, niedawno przez tegoż porucznika z za kordonu sprowadzonej. Usłużny porucznik zaproponował swe usługi w tym wypadku, bo i sam miał jakieś luki myśliwskie do zapelnienia.

Postanowiłem skorzystać z tej okazji i zaproponowałem, byśmy się wybrali kiedy za kordon razem. Porucznik chętnie się na to zgodził i nawet obiecał przewieźć mię na tamtą stronę i z powrotem bez paszportu lub półpaska. Długośmy się spierali o to, czy pójdziemy pieszo, czy pojedziemy, bo pan porucznik, wielki amator spacerów, chciał nas koniecznie prowadzić drogą leśną i pokazać nadzwyczajne talenty swego jamnika. Wreszcie dał się jednak przekonać i ułożyliśmy się, że zajedziemy po niego na kordon za kilka dni, gdy nasz porucznik miał wolny dzień od służby.

Na szczęście w tym czasie przyszło też umówione zawiadomienie o tym, że sukno już otrzymane. Trzeba było działać możliwie prędko, bo i sklepikarz mógł przez ciekawość obejrzeć owo «sukno» i wreszcie mój kuzyn coraz bardziej się rozklejał i wobec zbliżania się stanowczej chwili okazywał coraz

bardziej chęć porzucenia całej imprezy. Zartowałem, śmiałem się z jego tchórzliwości, lecz odczuwałem, że muszę polegać jedynie na sobie i swoją stanowczością zmuszać kuzynka do czynu.

Nadszedł nareszcie dzień, wyznaczony nam przez p. porucznika. Kuzynek mój był zdenerwowany i podniecony do niemożliwości; prosił mię, bym jechał sam, bo się czuje chorym. Oparłem się jednak temu, bo przecież ktoś musi bawić p. porucznika, gdy się będzie pakowało bibułę do bryczki. Wreszcie kuzynek dał się uprosić i siadł do przygotowanego powozu, jak skazaniec, jadący na ścięcie. Bałem się, że jego zdenerwowanie zwróci uwagę p. porucznika, więc umówiliśmy się, że ja porucznika nie odstąpię, a on będzie się opiekował bibułą i zapakuje ją do wozu.

Ruszyliśmy. Na kordonie spotkaliśmy oczekującego nas porucznika, którego nie poznałem. Był ubrany cywilnie, władze bowiem rosyjskie niechętnie patrzą na wycieczki wojskowych za granicę wobec możliwości «obrazy munduru rosyjskiego». Porucznik był wesół, jak szczygieł. Dowiedziałem się wkrótce o przyczynie tej wesołości. Na tamtej stronie, w miasteczku, była jakaś romansowa Niemeczka, która obdarzała swymi względami p. porucznika. Po drodze porucznik zdążył mi opowiedzieć parę pieprznych szczegółów romansu i opisać swą Niemeczkę zanadto szczegółowo. Minęliśmy kordon szczęśliwie. P. porucznik, według obietnicy, wstawił się za mną u zielonego cerbera, strzegącego granic imperium carskiego, i wkrótce stanęliśmy u celu podróży, w pruskim miasteczku M. Konie zostawiliśmy u sklepikarza i we trójkę poszliśmy zwiedzać osobliwości miasteczka — knajpy z porządnym niemieckim piwem. Po drodze załatwiliśmy myśliwskie interesy, a gdy liczba wypitych kufli była już dosyć dużą i wpłynęła nieco na podniesienie fantazji mego kuzynka, zaproponowałem p. porucznikowi spacer i wizytę u Niemeczki, na kuzyna zaś mrugnąłem, by w tym czasie załatwił się z sukniem-bibułą.

Nieszczęście chciało, żeśmy Niemeczki nie zastali. Porucznik stracił na humorze i pomimo, że go wyciągał na myśliwskie opowiadania, nie zdradzał wielkiej chęci do dłuższego spaceru sam na sam ze mną. Jeszcze kilka kufelków piwa i wreszcie nie było już sposobu zatrzymać porucznika, który, zgryziony niepowodzeniem miłosnym, chciał koniecznie wracać czym prędzej do domu. Spojrzałem na zegarek — trochę więcej, niż pół godziny, minęło od czasu, gdyśmy się rozstali z kuzynkiem, musiał więc chyba załatwić się z włożeniem kilku

pakunków do bryki. Na wszelki jednak wypadek, podchodząc do sklepiku, prowadziłem rozmowę tak głośno, by kuzynek mógł wiedzieć o naszym powrocie.

Nagle, ku wielkiemu memu zdumieniu, kuzynek z okropnie wystraszoną twarzą wyskoczył ze sklepiku, chwycił porucznika pod ramię i zaczął mu coś szeptać do ucha, dając mi za plecami jakieś rozpaczliwe znaki, wskazujące na sklepiak. Wpadłem, jak bomba, na podwórze sklepiakarza, gdzie stały nasze konie. Koło wozu stała sklepiakarka i wyjmowała z pudła książki, składając je do swego fartucha. Zdębiałem.

— *Was machen Sie?* ¹⁾

— *Der junge Herr hat gesagt, er wird die Bücher nicht nehmen* ²⁾ — odparła mi flegmatycznie Niemka.

Nie rozpytywałem już, dlaczego się książki z opakowania wysypały, lecz nie tracąc czasu, postanowiłem ratować, co się da. Słyszałem głosy porucznika i kuzynka, oddalające się od sklepiaku, więc wyrwałem książki z rąk Niemki i wpakowałem je napowrót do wozu. Jeden tylko pakunek był rozsypany. Dwa inne leżały obok na ziemi. Gdym jednak chciał bez rozprucia opakowania wsunąć zawiniątko pod siedzenie, okazało się, że jest ono za krótkie dla pakunku. Widocznie kuzynek, chcąc go wcisnąć, musiał ugnieść go zbyt silnie, tak, że opakowanie pękło i książki się wysypały. Nie było rady, rozprułem płótno i wysypałem książki z drugiego pakunku.

Nigdy w życiu tak się nie spieszyłem i nie zmęczyłem, jak wówczas. Cały czas nasłuchiwałem, czy porucznik nie wraca, ręce drżały mi ze wzruszenia, pot wystąpił mi na czoło. Nie myślałem wcale o tym, że cała rodzina sklepiakarza otaczała mnie i oglądała ze zdziwieniem moją robotę; nie myślałem, że taki brak konspiracji może się skrupić i na mnie, i na mych krewniakach, chciałem tylko skończyć prędzej robotę, chciałem uniknąć zetknięcia się porucznika z bibułą.

Zaledwem zdążył jako tako ułożyć książki z drugiego pakunku, gdym usłyszał głosy wracających. Czym prędzej przykryłem bibułę poduszkami od siedzenia, trzeci zaś pakunek wsunąłem wprost do bryczki, położywszy go wzdłuż z brzegu tejże i przysypałem go sianem. W duchu postanowiłem sięść do bryki z tej właśnie strony, by nikt inny nie wyczuł pod nogą pakunku. Po chwili porucznik i kuzynek byli już przy bryczce. Kuzynek był był zupełnie wyczerpany, blady, z przygasłymi oczami, patrzył na mnie, jak skazaniec, błaga-

¹⁾ Co pani robi?

²⁾ Młody pan powiedział, że nie weźmie książek.

jący o litość. P. porucznik, nieco podchmielony, był niecierpliwy, raz po raz powtarzał:

— *Nu, gaspada, jediem. A panu szkodzit mnogo pit'* ¹⁾ — dodał łamaną polszczyzną, zwracając się do mego kuzynka.

Usadowiliśmy się na wozie — ja, naturalnie, z brzegu, gdzie była bibuła. Na odjezdnym kuzynek, który powoził, szeptem zapytał mię: «A gdzie książki?» Odpowiedziałem mu również szeptem, udając gniew: «Zostały». Humor kuzynka nagle się poprawił i z fantazją zaciął konie. Bryczka zadudniła po pysznej szosie pruskiej, zbliżając się do granicy.

Co do mnie, nie byłem zupełnie spokojny. Gdyśmy kilka godzin temu przejeżdżali granicę, widziałem, jak zieloni rewidowali jakiś powóz i parę furmanek chłopskich, które z Prus wkraczały do imperium rosyjskiego. Rewizja nie była ścisła, co prawda, lecz polegała na tym, że któryś z zielonych wsuwał rękę do wozu i przetrząsał siano. Liczyłem na to, że nas z porucznikiem nie zechcą fatygować i nie będą podejmować poduszek powozu, lecz dręczył mię pakunek, który wyczuwałem pod nogami. Co będzie, gdy zielony podejmie siano, przykrywające pakunek? Albo co będzie, gdy porucznik zechce zejść na chwilę na przykomórek przywitać się i pogawędzić z przyjacielem-urzędnikiem celnym? Może będę zmuszony zejść i ja, i zostawię w ten sposób wóz bez opieki.

Te pytania męczyły mię mocno i przyznam się, gdy wreszcie zgrzytnęły łańcuchy na rogatce granicznej, byłem mocno zdenerwowany i ze złością patrzałem na swego kuzynka, który spokojnie zatrzymał konie już na terytorium rosyjskim. Lecz nikt z zielonych nie zbliżył się nawet do bryczki, a p. porucznik, pochmurny i niezadowolony z wycieczki, ani się poruszył i tylko mruknął coś niezrozumiałego na powitanie żołnierzy i urzędnika celnego. Odetchnąłem jednak lżej dopiero, kiedy mój kuzyn po załatwieniu formalności paszportowej siadł znowu na brykę i konie lekkim truchtem ruszyły po pyłnej drodze.

Kuzynek mój dowiedział się o tym, że został oszukany, dopiero wtedy, gdyśmy pochmurnego porucznika pozbyli się przy kordonie i gdy, siadłszy na jego miejscu, zaczął szeptem usprawiedliwiać się przede mną, że kazał sklepikarce zniszczyć książki.

— *Jakaś głupia moskiewszczyzna* — dodał, — i po co tobie takie książki?

¹⁾ No, panowie, jedziemy. A panu szkodzi dużo pić.

Zamiast odpowiedzi, odsunąłem siano spod nogi i poprosiłem go, by zajrzał pod poduszki bryczki.

Zgłupiał, zdumiony moją bezczelnością. Zgodził się jednak z losem, prosił mnie tylko, bym wziął całą winę na siebie w razie, gdyby do ojca jego doszła przez sklepikarza wiadomość o tym wypadku. Reszta poszła, jak po maśle. Zdołaliśmy niepostrzeżenie wyjąć bibułę z bryczki i zapakować do przygotowanych walizek, a w kilka dni potem dostarczyłem książki do Warszawy.

* * *

Powyższe opowiadanie towarzysza, pochodzącego z pogranicza, dowodzi, co prawda, względnej łatwości urządzenia jednego takiego transportu bibuły, lecz nic nie mówi o takich transportach, jako o czymś stałym i regularnym. Rzecz jasna, że kombinacja, oparta na wyzyskaniu wspólnej z romansowym poręcznikiem wycieczki za kordon, może się nie powtórzyć, tym bardziej, gdy za pośredników używać trzeba, chociaż i lekkomyślnych, lecz tchórzliwych kuzynków. Potrzeby partii nie mogą być zadowolane przez takie wypadkowe, niezorganizowane kombinacje przejezdnych towarzyszków. Musi ona mieć porządne, że je tak nazwę, biura transportowo-ekspedycyjne, działające stale, nie sporadycznie.

Każdy łatwo zrozumie, że pierwszym warunkiem istnienia takiego biura jest zamieszkanie na stałe przez jakiegokolwiek towarzysza pogranicza państwa. Już ta jedna okoliczność stwarza niemałe trudności do pokonania.

Całe pogranicze, z wyjątkiem paru punktów, jak Zagłębie Dąbrowskie lub Kalisz, jest to kraj rolniczy, odcięty najczęściej w dodatku przez politykę kolejową Rosji od reszty kraju. Wyszukanie więc odpowiedniego towarzysza wśród mieszkańców pogranicza, gdy się zważy, że wszystkie żywsze miejscowości obciążone są wzmocnionym odpowiednio dozorem celnym i policyjnym, nie jest łatwe. Osadzenie zaś umyślne którego z odpowiednich towarzyszy przedstawia te trudności, że w takich, przeważnie głuchych, zakątkach trudno o zajęcie, dające legalny i zrozumiały dla wszystkich pozór zamieszkania.

Dopiero po przezwyciężeniu tej pierwszej przeszkody, nad którą ludzie nieraz łamią sobie głowy miesiącami, o ile szczęśliwy wypadek nie nasunie odpowiednich kombinacji, można przystąpić do interesu. Naturalnie, trzeba dać czas takiemu towarzyszkowi rozpatrzeć się w otoczeniu, zbadać grunt i teren, na którym będzie pracował. Jeśli człowiek jest tym, co w Warszawie nazywają «cwaniak», to jest sprytny i obrotny, to

w krótkim przeciągu czasu dostrzeże mnóstwo okazji, przy których można to lub owo zrobić dla interesu: przenieść bezpiecznie bibułę przez granicę, wywieść ją z pasa pogranicznego bez osobliwego narażania się na wyspę, zużytkować kogokolwiek z otoczenia do takiej lub innej pomocy przy prowadzeniu interesu itd. Po pewnym czasie i przy sprzyjających okolicznościach wytworzy się z pewnością jakiś system i kolejność w zużytkowywaniu różnych kombinacji, powtarzających się od czasu do czasu, lecz zbyt rzadkich, by tylko na jednej z nich opierać cały interes.

Jednym z takich idealnych transporciarzy był towarzysz X. ⁴⁾ Specjalnie w celu urządzenia drogi dla wydawnictw nielegalnych przyjął on drobną posesję w jakiejś fabryczce pogranicznej. Miał on szczególny dar zjednywania sobie ludzi i przywiązywania ich do siebie, a dzięki sprytowi wkrótce był na pograniczu, jak u siebie w domu. Znał wszystkie tajniki graniczne, wszystkie stosunki, łączące ludzi pomiędzy sobą, i raz po raz w głuchym i mało zaludnionym zakątku potrafił sobie zdobyć pomocnika lub pomocnicę w niebezpiecznym procederze. Gdy sobie wybrał kogo do pomocy, opłatywał go powoli siecią drobnych usług i grzeczności, zobowiązywał dobrocią serca, gdyż się do takich pomocników zupełnie szczerze przywiązywał. Wciągał do interesu powoli i stopniowo, nie odkrywając na razie wszystkich swych kart, tak, że gdy «ofiara», jak takich ludzi żartobliwie nazywał, spostrzegła się, że jest jednym z kółek w jakimś nieznanym jej mechanizmie transportowym, było już późno — była zbyt opłątana misterną siecią i najczęściej poddawała się losowi.

Zresztą, wykorzystał on całe otoczenie. Jeden nieświadomie zupełnie służył mu dla wyrobienia dobrej opinii wśród zielonych i u władzy, drugi bezwiednie dał się naciągnąć w chwili odpowiedniej dla osłonięcia transportu przy przejściu granicy lub kordonu, trzeci pod pozorem prezentu zawiózł do najbliższego miasta trochę bibuły, czwarty, nakręcony przez niego, dowiedział się o tej lub innej tajemnicy urzędowej — i tak bez końca. Myśl miał wiecznie wyteżoną w celu zwiększenia wydajności swej pracy i osłony swej roboty mrówczej przed niepożądanym wzrokiem argusowym nie tylko zielonych, żandarmów lub policji, lecz i plotkarzy małomiasteczkowych.

Najkomicniejszą jego «ofiara» był tłusty oberżysta za-

⁴⁾ Aleksander Sulkiewicz. Tu prawda została pomieszana ze zmyśleniem co do warunków, w jakich pracował Sulkiewicz, który był urzędnikiem komory celnej, nie zaś fabryczki pogranicznej.

kordonowy, który mu służył jako pośrednik przy otrzymywaniu bibuły z zagranicznych składów. Na razie, skaptowany jakimś drobnym prezencikiem, proszony był o wypisanie paru posyłek na swoje imię — nie książek, broń Boże, lecz jakiejś zwyczajnej kontrabandy. Przyzwyczajony do tego rodzaju transakcji przez wielu mieszkańców pogranicza, zgodził się na to chętnie. Naturalnie, zamiast jakiegoś sukienka czy serwisu, przyszła bibuła, odpowiednio opakowana, z miasta, odpowiadającego tego rodzaju towarom.

Po kilku tygodniach nastąpiła nowa posyłka, na którą oberżysta zgodził się tym chętniej, że nasz towarzysz ułatwił mu przez swe stosunki kilka drobnych interesów na komorze rosyjskiej. Posyłki wkrótce zaczęły przychodzić coraz częściej, lecz oberżysta, widząc naszego towarzysza zawsze uśmiechniętego i pewnego siebie, oraz wiedząc dobrze, że mnóstwo rozmaitych towarów w ten sposób przechodzi granicę, zacierał tylko ręce, gdyż towarzysz nasz chętnie pomagał mu w tych interesach, jakie «ofiara» miała na pograniczu rosyjskim.

Wkrótce jednak twarz oberżysty ogromnie się wydłużyła. Wypadkowo zoczył on, że tym towarem, dla którego używał swego pośrednictwa, była bibuła. Słyszał on o ruchu rewolucyjnym w Rosji, dochodziły doń przesadne wieści o okrutnych przesładowaniach, torturach i męczarniach, jakim podlegają wrogowie «porządku politycznego i społecznego» w Rosji, a zarazem miał wysokie pojęcie o potędze cara, który, zdaniem jego, mógł marnego oberżystę nadgranicznego zupełnie łatwo chwycić z obcego państwa, by wyrzucić na nim zemstę za knowania przeciwniactwa. W ogromnym więc strachu zrobił gorzką wymówkę naszemu towarzyszowi za takie narażanie «przyjaciela» i stanowczo odmówił pomocy swej nadal.

Towarzysz nasz nie dał się jednak zbić z tropu. Stosunek jego z oberżystą, gospodarzem miejsca na wpół publicznego, wydawał mu się bardzo wygodnym, bardziej zabezpieczającym transporty, niż jaki inny, tym bardziej, że handlowe interesy «ofiary» dawały doskonały pozór dla wielkiej ilości posyłek, nadchodzących do oberży. Postanowił więc wykorzystać strach swej «ofiary», by ją przykuć do taczki na dłużej.

Przedstawił więc mu, że jego częste stosunki z «przyjacielem» nie są tajemnicą dla nikogo, że w razie odmowy jego będzie zmuszony urządzić interes inaczej, mniej pewnie, mniej bezpiecznie i prawdopodobnie się wsypie, a wówczas, naturalnie, stosunki dwóch «przyjaciół» nabiorą w oczach żandarmów rosyjskich innego znaczenia, wówczas dopiero grozić mu będzie prawdziwe niebezpieczeństwo.

Po długich targach biedna «ofiara» dała się przekonać, tym bardziej, że na poparcie tych argumentów otrzymała w prezencie piękny zegarek. Prosił tylko, by posyłki były mniej częste. Odtąd co miesiąc lub częściej biedny oberżysta ponawiał usiłowania wyrwania się z sieci i za każdym razem cofał się. Żył w wiecznym strachu, osobliwie, gdy leżało u niego więcej bibuły lub na granicy było nieco niespokojnie, drżał, gdy do jego oberży wsuwał się który z zielonych lub innych urzędników rosyjskich. Dla uspokojenia «przyjaciela» towarzysz nasz musiał znosić najrozmaitsze jego kaprysy — musiał się zgadzać na różne głupie kombinacje, którymi biedny oberżysta starał się zabezpieczyć siebie i «przyjaciela». Miał więc określone godziny, kiedy się mógł zgłaszać do oberży, musiał często zmieniać sposób opakowania bibuły, sprawić jakąś nadzwyczajną szafę z podwójnymi ściankami, jako schowanka bibuły itd.

Pomiędzy innymi oberżysta ogromnie się wystrzegał, by ktokolwiek nie zobaczył naszego towarzysza w prywatnym jego mieszkaniu. Razu pewnego wynikła z tego powodu zabawna scena. Po milionach ostrożności, przysłanianiu okien, wciskaniu towarzysza X. do kąta w każdej chwili, gdy kto przechodził przed oknami mieszkania, oberżysta pozwolił wreszcie zajrzeć do tajemniczej szafy, gdzie był wpakowany świeży transport bibuły. Niestety chciało, że gdy towarzysz nasz był zajęty segregowaniem bibuły i pakowaniem jej w odpowiedni dla przeniesienia przez granicę sposób, a oberżysta biegł po pokoju, na palcach podchodząc od jednego okna do drugiego, przy drzwiach rozległy się kroki i skrzypnęła klamka. Nim się nasz towarzysz obejrzał, barczysty oberżysta schwytał go za kołnierz, położył go na podłodze, przykrył go jakimś ubraniem i zatrzasnął szafę.

Jak się okazało, do pokoju weszła bratowa oberżysty, która miała jakiś interes do niego. Wystraszony mimowolny rewolucjonista nie mógł od razu zrozumieć, o co bratowej chodzi, i czynił rozpaczliwe wysiłki, by zasłonić swym ciałem miejsce, gdzie leżał nasz towarzysz, którego nieprzykryta noga sterczała spod płachty. Wreszcie, widząc, że wszelkie usiłowania są daremnymi i że bratowa uparcie patrzy na ową nieszczęśliwą nogę, podskoczył do zdziwionej kobiety i wyrzucił ją za drzwi. Po tym wypadku oberżysta był w rozpacz, tym bardziej, że nasz towarzysz zgromił go ostro za takie zachowanie się, które więcej, niż co innego, zwrócić może uwagę otoczenia na ich stosunek. Lecz oberżysta uspokoił się nieco dopiero wtedy, gdy jakąś dziwną kotarą odgrodził kąt w po-

koju i umieścił w nim szafę z bibułą. Nasz towarzysz natychmiast po wejściu do pokoju był wpychany za kotarę, gdzie w mroku i ciasnocie mógł już gospodarzyć swobodniej.

Po dwóch latach takiej niewoli oberżysta nie wytrzymał tej katorgi i porzucił swą oberżę. Wyniósł się do spokojniejszych stron, w głąb kraju, lecz przez cały ten czas oddał nieobliczone usługi wrogom caratu.

Inna «ofiara» naszego towarzysza, już więcej świadoma i zdająca sobie sprawę z tego, co czyni, była żoną jednego z urzędników komorowych w tej okolicy.

Pani Z* pochodziła z niemieckiej, spolszczonej już rodziny i jako guwernantka w bogatym urzędniczym domu, wyszła za mąż za krewnego swego pryncypała, Rosjanina i urzędnika celnego. Pan Z*¹⁾, gdy go los zetknął na polskiej ziemi z naszym towarzyszem, był już zupełną ruiną człowieka. Wyniszczyły go zupełnie choroby — skutki hulaszczego życia w młodości. Może był niegdyś niegłupim, lecz w owym czasie był to zidiociały szkielet człowieka, który z ludzkich funkcji zachował bodaj tylko zdolność trawienia i leniwego poruszania się z miejsca na miejsce. Trzymano go na urzędzie jedynie dlatego, że ze względu na krewnego, wysokiego urzędnika w Petersburgu, chciano mu pozwolić na wysłużenie emerytury. Małżeństwo miało córkę kilkunastoletnią, która się kształciła w jakimś zakładzie naukowym w Warszawie.

Pani Z*, związana z człowiekiem pół-trupem, zdała od córki, do której była przywiązana całym sercem, nie znajdowała w swym otoczeniu, składającym się z nieokrzesanych, często pijanych urzędników, nic takiego, coby mogło zapełnić jako tako jej życie. W tym czasie przybył w owe okolice towarzysz X. Znajomość zawiązała się wypadkowo. Towarzysz X. wyjeżdżał w interesie fabryki do Warszawy i był proszony o dostarczenie córce państwa Z* prezenciku od rodziców. Wrócił z listem córki i znajomość została zawarta. Po pewnym czasie nasz towarzysz zdecydował się na zużytkowanie dla sprawy tej nowej znajomości.

Na razie powiedział pani Z*, że jakiś znajomy z Warszawy prosił go o dostarczenie mu kilku książek niecenzuralnych, a że w jego kawalerskim mieszkaniu mogły wpaść one w oko komuś ze służby, prosił o przechowanie książek do czasu oddania ich w należyte ręce. Gdy pani Z* się zgodziła, przyniósł jej kilka, specjalnie w tym celu wypisanych, tomików poezji polskich i parę książek historycznych. Było to zrobione, natu-

1) Z* — Witte, daleki krewny ministra Witte'go.

ralnie, w celu oswojenia «ofiary» z nielegalną książką i wysondowania, czy nie wywoła to strachu. Pani Z* okazała się odważną i nie tylko przechowała książki, lecz i przeczytała je. Wkrótce, jak i u owego oberżysty, liczba książek, przechowywanych u pani Z*, zaczęła wzrastać, treść ich zaczęła nabierać określeńszej barwy, a gdy to nie zrażało pani Z*, towarzysz nasz nareszcie zwierzył się jej, że należy do organizacji, walczącej z rządem carskim, i zaproponował jej od czasu do czasu pomagać mu w robocie.

Dla pani Z* znajomość z naszym towarzyszem oraz interesy z bibułą były zapełnieniem przerażającej pustki życiowej, a zresztą czuła ona pewnego rodzaju litość dla sympatycznego chłopca, który dla idei narażał się na widoczne niebezpieczeństwo. Zgodziła się więc na propozycję i oddała swe mieszkanie oraz swoje siły na usługi naszemu towarzyszowi. Dla niego pomoc ta była bardzo cenną. Mieszkanie państwa Z* znajdowało się w dużym murowanym domu, gdzie się mieściło kilka rodzin urzędniczych, więc samo miejsce było swego rodzaju tabu dla zielonych, a w dodatku towarzysz X. mógł używać nieraz pomocy pani Z*, a przez nią i jej męża, dla osłony poważniejszych transportów w głąb kraju.

Jeden z towarzyszków, który brał udział w przewiezieniu takiego poważniejszego transportu, opisywał swoje przejścia w tym wypadku w następujący sposób.

*
*

— Miałem przywieźć do Warszawy świeży numer «Przedświtu», mniej więcej dwa pudy bibuły. W tym celu musiałem jechać do miasteczka, oddalonego od granicy o kilka mil, gdzie towarzysz X. miał mi oddać już przetransportowany «Przedświt». Randka miała nastąpić u jakiegoś znajomego X. Przyjechałem szczęśliwie, zastałem X., lecz bibuły nie było.

— Nie przywozłem nic — oświadczył mi X., — bo mam na myśli coś większego. Dzisiaj pod wieczór oczekuję czcionek dla naszej drukarni, więc dobrze byłoby, gdybyś zabrał wszystko od razu — czcionki i «Przedświt».

— Ależ do diabła! — zaprotestowałem, — cóż ty mnie chcesz obładować, jak osła! Dwa pudy bibuły, a tego metalu tyleż, czy więcej. Jak, u licha, ja to powiozę?

— Już ty się nie bój, — śmiał się X., — już ja ci to urządzę, obmyśliłem już wszystko. Tylko śpieszmy. Mamy kilka godzin czasu do przyścia transportu, a wtedy muszę być w domu. Jazda, brachu!

Jak jazda, to jazda! Ruszyliśmy, konie były już przygotowane. W drodze X. zasypywał mnie pytaniami o znajomych towarzyszach, o robocie partyjnej.

— Ach, mój drogi! — powtarzał raz po raz, — dla mnie przyjazd każdego z was to bał prawdziwy. Siedzę tutaj, jak na wyspie bezludnej, ani do kogo porządnie przemówić, ani wiem, co się tam u was dzieje. Licho bierz takie życie!

I z wielkiego rozczulenia ścisnął mi ręką kolano.

— Wam tam wesoło — prawil, — macie życie, ruch, a tu br!... wiecznie albo kłamiesz, albo kogoś na coś naciągasz. Nie masz wyobrażenia, — ciągnął dalej, zapalając się w skardze, — ile ja tu o każdego z was się niepokoję. Wciąż myślę — a może tego lub owego już nie ma? Wy tam z ludźmi macie do czynienia, to tego nie rozumiecie. Oj! byłby każdy z was na moim miejscu, wył. Bibuła, nuda i wieczna komedia! Ale, pal licho! — otrząsał się z melancholii, — cóż tam słyhać z «Robotnikiem»? Przywiozłeś mi może świeży numer?

I znowu, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, z imienia na imię, wyciągał ze mnie wszystkie nowiny partyjne. Przy tem od czasu do czasu, wyjmując z kieszeni zegarek, mruzczał: «Hm, hm, czy zdążę?»

Wreszcie zdala zabielały mury kościoła w miasteczku pogranicznym, a w pobliżu przy skrócie drogi ukazały się czarne ściany kordonu z zielonym wojakiem na warcie. Trochę w bok od miasteczka ukazał się malutki komin fabryczny, oddzielony od zabudowań miejskich wąskim strumieniem. Była to siedziba towarzysza X.

— Słuchaj! — zawołał nagle X. — przyszło mi na myśl, że lepiej będzie, gdy nas razem nie będą widzieć w miasteczku. Kto wie, co będzie, może transport z czcionkami nie przejdzie szczęśliwie, może przemytnika złapią, może wyśpiewa od razu, że niósł mnie, po co i ty masz być w to zamieszany. Nie, nie chcę tego! Urządzimy tak. Ja zajadę do miasteczka... Nie, lepiej ty jedź do miasteczka, zapłać woźnicy zaraz w początku zabudowań, tam będzie uliczka na lewo, raczej droga... o, widzisz, stąd ją widać, — prowadzi do fabryki. A może jeszcze lepiej — jedź od razu do pani Z*, to dla ciebie najbezpieczniej. Co? Ale dla niej niewygodnie, będzie potem musiała kłamać przed ludźmi i ja jej nie uprzedzałem, że ktoś u niej być może...

I kręcił się niespokojnie na wozie, mruzcąc: «może lepiej nie zaczepiać? co?» — pytał sam siebie. Widocznie tłoczyły mu się w głowie kombinacje w takiej ilości, że nie mógł się zatrzymać na żadnej z nich.

— Jak myślisz? — pytał. — Najlepiej chyba będzie je-
chać razem, jeszcze nie dasz sobie rady, zabłądzisz...

— Ależ daj spokój! — przerwałem, — widzę przecie tę
drogę, o której mówisz, opowiedz więc, co mam dalej robić.
Do pani Z* w istocie zajeżdżać niezręcznie.

— Tak mówisz! — uspakajał się X., który poczuwał się
widocznie do obowiązku opiekowania się przyjezdnymi towa-
rzyszami. — Tak mówisz! no, to dobrze. Jedziesz do mia-
steczka, płacisz woźnicy, a nie dawaj mu tylko dużego na-
piwku, tak 10 kopiejek, to dosyć. Jeszcze gotów pomyśleć, że
jakaś sprawa nieczysta! Idź tą drogą na lewo, trafisz wprost
do fabryki. Tam wal przez bramę na podwórze, nikt cię za-
trzymywać nie będzie, a i robota dziś w sobotę już się skoń-
czyła. Na lewo będą dwa domki, jeden piętrowy, drugi z fa-
cjatką, więc do tego z facjatką, na schody i na strychu na
lewo, tam mieszka N. N., idź do niego.

— Nie do ciebie? Czemu?

— Już ty mnie słuchaj! — mówił prosząco, — tak lepiej,
bo widzisz, a nuż co się zdarzy. Tam dadzą ci herbaty i zjeść
cokolwiek, już go uprzedziłem.

— Cóż to za małpa ten N. N.? Jak z nim mam mówić?

— Małpa głupia, jak stołowe nogi, ale poczciwa. Gadaj
najlepiej o płci pięknej. Pytać cię o nic nie będzie. No, więc
trafisz? Co? Pamiętaj zaraz w miasteczku droga na lewo do
fabryki, tam drugi dom z facjatką.

— Dobrze, dobrze, rozumiem — uspakajałem go. — A ty
tam przyjdiesz? Kiedy?

— Już cię nie opuszczę, nie zje cię małpa. Aha, N. N. wie
o mnie, ale to nic, on złoty chłopiec. No, na mnie pora, stąd
dojdę pieszo. Stój! — zawołał na woźnicę.

Konie stanęły, X. wysiadł, ścisnąwszy mi czule rękę i pa-
trząc mi w oczy tak, jak gdyby za chwilę jeden z nas miał być
powieszony. Gdy odjechałem parę kroków, usłyszałem woła-
nie: «Zaczekaj, stój!». X. znowu dopadł do wozu i szeptał mi
do ucha:

— Ale, słuchaj, w razie, gdyby cię jaki strażnik lub zan-
darm zapytał, kto ty i poco — to się zdarza — powiedz odrazu,
że do mnie. Dobrze? Bo, widzisz, najlepiej byłoby, najbezpie-
czniej dla ciebie powiedzieć, że do pani Z*, to dobra marka.
Ale kto wie, jak dalej będzie? Po co mamy bez potrzeby wcią-
gać panią Z*? Co?

Zgodziłem się i na to, jeszcze raz uściskaliśmy się i ru-
szyliśmy w różne strony. Przy wjeździe do miasteczka zatrzy-
małem woźnicę, opłaciłem go i poszedłem według wskazó-

wek X. do fabryki. Nikt mnie nie zatrzymywał, spotkałem na drodze tylko konnego zielonego, który nie zwrócił nawet na mnie uwagi. Po chwili byłem już koło domu z facjatką. W dosyć ciemnej sieni znalazłem schody, prowadzące na strych. Schody były strome, karkołomne, bez poręczy. Wdrapałem się na strych i, po omacku już idąc, na lewo znalazłem jakieś drzwi. Zapukałem. Otworzyła mi drzwi jakaś senna, pulchna figura, która na zapytanie, czy z panem N. N. mam do czynienia, zaprosiła mnie do pokoiku.

— Proszę, proszę, panie dobrodzieju, — flegmatycznie cedziła figura. — Pan X. mię uprzedzał, a jakże. Proszę, czekam z herbatką, niech pan siada.

Usiadłem. W pokoju było duszno, w nosie nieprzyjemnie lechtało od zapachu jakiejś strasznie taniej i strasznie obskurnej perfumy. Na ścianach były poprzybijane korespondentki i obrazki, przedstawiające przeważnie na pół lub zupełnie rozebrane niewiasty w różnych pozach. Na komodzie rozłożony był cały arsenał grzebyków, szczoteczek, mydełek i flakoników. Sam zaś gospodarz, był to wyblakły, puciołowaty blondynek, o sennych oczach i flegmatycznych ruchach, z głupkowatym, nieco zażenowanym uśmieszkiem.

— Co, u diabła, za konspiracje może mieć X. z taką małpą? — myślałem.

N. N. nalał mi herbaty, podał mi chleb, masło i jakąś przestarzałą wędlinę i czekał cierpliwie na rozpoczęcie rozmowy, nie pytając mię o nic.

Próbowałem nawiązać rozmowę z różnych beczek; pytałem dokładnie mego gospodarza o warunkach pracy na fabryce, o cenach na produkty spożywcze, o przestrzeni, dzielącej fabrykę od granicy i od różnych miejsc zamieszkanym w okolicy. Na wszystkie pytania otrzymywałem jednosylabowe, monotonnym głosem wyrzeczone odpowiedzi. Wreszcie zabrakło mi tematu. Zamilkłem. Milczał i gospodarz. Na szczęście przypomniałem sobie radę X. — gadaj o płci pięknej.

— Pan był w Warszawie? Nieprawdaż? Zauważył pan zapewne, że w Warszawie dużo ładnych niewiast?

Gospodarz ożywił się nieco. Westchnął, jak wieloryb, a na twarzy zakwitł uśmiech błogi.

— Co pan mówi — ładne... co to jest ładne? Piękne, powiadam panu, piękne! Przecie to nasza sława!

Rozmowa odtąd nie urywała się. N. N. mówił dużo i z zapalem. Słuchałem pół-uchem, wciąż pytając siebie, jak ten wioskowy Don Juan mógł się stać pomocnikiem naszej sprawy.

Wreszcie nie wytrzymałem i spytałem, przerywając jego dowodzenie o wyższości warszawianek nad krakowiankami.

— Pan dawno zna pana X.?

— Ja? — odpowiedział pytaniem. — Czy dawno? Nie, pół roku temu. O! to bardzo porządny, bardzo dobry człowiek! — mówił z przekonaniem. — Takich ludzi niewiele na świecie. Pan może sądzi, że ja nie czuję? Nie, ja czuję!

Co właściwie czuł pan N. N., tego mi nie wyjaśnił, widocznym jednak było, że czuł w istocie, bo twarz mu się zmieniła i jak gdyby nabrała pewnego razu.

Nagle do pokoju wpadł sam X. Rzucił kapelusz na łóżko, zajrzał nie wiem już po co, do kątów i wreszcie siadł koło mnie.

— Pijesz herbatę, — mówił wesoło, kładąc mi rękę na ramieniu. — Cóż, zmęczony jesteś? Możebyś zdrzemnął? Czeka nas jeszcze dziś wieczorem praca.

Wstał znowu, przewrócił parę gratów na stole i klepiąc dobrotliwie po ramieniu gospodarza, mówił:

— Pewnie o kobietach rozprawialiście, co? Oj! panie N. N., zgubił pan kiedyś te kobiety! A co słuchać tu u nas?

— Stare dzieje, panie dobrodziejku, stare! — mówił znowu flegmatycznie gospodarz. — Pan wie, przyjechał znowu brat pana dyrektora.

— Nie wie pan, po co? — zapytał żywo X.

— Ma jakoby jechać na kilka dni do Krakowa, a potem wraca do Warszawy.

X. zamyślił się, parę razy przeszedł wzdłuż pokoju i wreszcie rzekł:

— Może mu co wsunąć, gdy będzie wracał? Powiem mu, że to prezent dla córeczki pani Z* — szeptał mi do ucha. — Ty zajdziesz do niego, mieszka na Marszałkowskiej, przedstawisz się, jako krewny pani Z*, i odbierzesz. Co? On człowiek dyskretny, nie otworzy pakunku... Nie, nie, to na nic! Ty możesz nie być w tym czasie w Warszawie, posyłka będzie u niego leżała długo. Jeszcze gotów sam zanieść na pensję. Ładny byłby obrazek, zamiast prezentu — bibuła! To na nic!

Zamyślił się znowu.

— Ale prawda, zapomniałem, żeś mi przywiózł «Robotnika» i listy zagraniczne. Po co będę tym obciążał swego pośrednika? Ten pan jedzie do Krakowa, niech zawiezie tam. Dam mu adres. Jak sądzisz, — zwrócił się do mnie, — czy można mu dać adres? — wymienił mi nazwisko jednego z towarzyszy krakowskich. — Znajdzie może «Naprzód» u niego na stole i gotów posądzić kogo z nas o socjalizm. Lepiej zapy-

tam, gdzie się zatrzyma w Krakowie i napiszę do faceta, by zaszedł i odebrał. Tak będzie nawet grzeczniej, nie będę go fatygował. Tak zrobię! Ot, jeszcze jeden interes będzie załatwiony!

Gospodarz, widząc, że X. coś mi szeptem do ucha, dyskretnie się usunął na bok.

— Ja mam mały interes do załatwienia — mówił, biorąc czapkę. — Zostawię tu panów. Do widzenia!

— Nie, nie, panie. Niech pan zaczeka — zaprotestował X. — Jeszcze pół godzinki i ja pana uwolnię. Już wieczór się zbliża.

Odciągnął mnie w kąt i zniżonym głosem mówił:

— Widziałem swego przemytnika, przeniósł już w nocy czcionki, lecz zdawało mu się, że jest za nim pogoń, zakopał więc pudelka w krzakach. Dzisiaj o zmroku ma to mi przynieść. Muszę czekać na niego, ale na wszelki wypadek ty posiedź tu chwilę jeszcze, a w razie, gdybym za godzinę nie wrócił, idź z N. N. do miasteczka i już bez ceremonii wal do pani Z*. Każdy w miasteczku wskaże, gdzie ona. Z nią się już umawiaj o dalsze sprawy, tylko tu nie wracaj, bo, w razie mojej wsypy, mogą zacząć i N. N. No, bywaj!

Scisnął mi mocno rękę, patrząc na mnie znowu tak, jak gdybyśmy się rozstawali na zawsze albo na bardzo długo.

Wyszedł, a N. N., odprowadziwszy go do drzwi, wrócił, mrużąc:

— Biedny człowiek, nigdy spokoju, ani chwili spokoju!

Nie chciało mi się rozpoczynać raz jeszcze «kwestii kobiecej», milczałem więc, patrząc w okno, przez które widać było gasnącą z wolna wieczorną zorzę.

Było mi trochę smutno. Nie dręczyły mię, co prawda, żadne złe przeczucia. Wiedziałem dobrze, że dzielnemu X. tyle już przedsięwzięć się udało, iż nie było żadnej racji oczekiwać, by za tym razem powinęła mu się noga. Ale... kto wie, może za chwilę, gdy ja tu będę jeszcze spokojnie siedział, tam, wśród tej miłej i cichej przyrody, przy tej pogodnie gasnącej zorzy, rozegra się jeden z dramatów granicznych, które przecież kończą się nieraz śmiercią.

Czas włókł się leniwie, niecierpliwość moja wzrastała. Spojrzałem na zegarek — minęło zaledwie 20 minut od rozstania się z X. Więc jeszcze 40 minut czekania.

N. N. siedział na łóżku i zdawał się wsłuchiwać w wieczorną ciszę. Po pewnym czasie prawie wesoło zawołał:

— Idzie! panie dobrodzieju, idzie!

W istocie usłyszałem pod oknem ciężkie kroki i lekkie

gwizdnięcie. Później słychać było krótką, urywaną rozmowę szeptem, odmykanie i zamykanie okna, wreszcie kroki zaczęły się oddalać.

— No, gotowe! — zawołał po chwili X., wpadając do pokoju i zacierając ręce. — Teraz chodź do mnie — mówił, ciągnąc mnie za rękaw. — Teraz i pan wolny — dodał, zwracając się do pana N. N.

Zeszliśmy znowu po karkołomnych schodach na dół i X. wprowadził mię do swego pokoju na parterze, pod pokoikiem N. N. na facjacie.

Pokój był nieduży, bardzo skromnie umeblowany. Stół przy oknie, na nim trochę rozrzuconych papierów i rachunków fabrycznych, łóżko po jednej stronie stołu, po drugiej kanapka, kilka krzesel — oto całe umeblowanie.

Gdyśmy weszli, w pokoju było ciemno. X. natychmiast zamknął za sobą drzwi na klucz, spuścił gęstą roletę i zapalił lampę. Na łóżku leżały dwa drewniane pudełka.

— Spróbuj podnieść. Oj, ciężkie cukierki! — żartował wesoło.

Były to czcionki, któreśmy wypisali dla dopełnienia inventarza swej drukarni.

— Trzeba pudełka rozbić, przeniesiemy do pani Z* czcionki w kieszeni. Do pracy! A ciekaw jestem, czy przysłali ozdóbki. Prosiłem o to Londyn specjalnym listem.

Ozdóbki w pudełku się znalazły, z czego X. cieszył się, jak dziecko.

— Będzie chłopcom w drukarni niespodzianka! Ale — zachnął się nagle — przeglądałem wasze zamówienia bibuły. Nie rozumiem, czemu wypisujecie tak mało; np. tak poczytnej broszury, jak «Ojciec Szymon», tylko 300. Przecie to wam wystarczy tylko na miesiąc, dobrze — jeśli na dwa. Nie, mój drogi, wybacz, ale ja wasz obstalunek przerobię.

— Ależ — protestowałem — nie przebieraj miarki, po co wypisywać za dużo, żeby bibuła nam była kulą u nogi.

— Et, gadanie! — oburzył się X., — nie możecie jej trzymać u siebie, to niech leży u mnie. U pani Z* mam wspaniały skład, mógłbym tam cały londyński skład wpakować. Zobaczysz! Jak sobie chcesz, a do waszego obstalunku coś niecoś dopiszę. Ale my tu gadu, gadu, a już iść trzeba, już pół do dziesiątej. O tej porze pan Z* spać się kładzie. Śpieszmy!

Czcionki leżały na łóżku w kolumnach, zawiniętych w gruby papier. Było tego na wagę do trzech pudów. Wsuwailiśmy kolumny do kieszeni spodni, kurtki i paltotu. Ciężar czcionek odrazu ściągnął ubranie ku ziemi, poczułem pewną

niezręczność i brak swobody swych członków przy takim opakowaniu siebie.

— Czy daleko iść mamy? — zapytałem.

— A co? może ci za ciężko, daj mi jedną kolumnę. Ja do tego rodzaju spacerów jestem już przyzwyczajony. Będziemy szli jakie pół wiorsty.

Nie zgodziłem się jednak na dodatkowe obciążanie przyjaciela, który tym czasem, świecąc sobie lampą, oglądał uważnie łóżko i podłogę koło stołu.

— Zgubiłeś co? — pytałem. — Trudno ci będzie nachylać się, znajdziesz potem, po powrocie.

— Nic nie zgubiłem, — odparł, — ale na wszelki wypadek oglądam, czy co się z pudełek nie wysypało. O! widzisz, trzeba zabrać deseczki od pudełek. U mnie one zwrócą uwagę stróża, zaniosę je pani Z*, spali je w kuchni.

Rzucił raz jeszcze badawcze spojrzenie na pokój i zgasił lampę.

— Idźmy! — rzekł. — Trzymaj się mnie; na dworze ciemno, a będziemy szli wąską ścieżką i kładką nad strumykiem.

W istocie było ciemno, lecz mój przewodnik znał widocznie doskonale drogę. Szedł krokiem pewnym, od czasu do czasu ostrzegając mnie, bym nie zawadził o co. Gdyśmy wyszli z pomiędzy zabudowań fabrycznych i zdala zamigotały światelka miasteczka, mój przyjaciel zwrócił się do mnie:

— Słuchaj, tu zapal papierosa i rozmawiajmy głośno, jak ludzie, co nie mają powodu ukrywać się. Ten kawałek drogi do miasteczka niezupełnie bezpieczny. Zieloni tu się włóczą często. Mnie raz zatrzymali przy kładce, widocznie oczekiwali kontrabandy owej nocy. No, ale mnie znają tu, więc żołnierz, poznawszy mnie, puścił, a miałem przy sobie prawie pud bibuły.

Według wskazówek towarzysza szliśmy, gawędząc głośno, nawet hałaśliwie. Rozmawialiśmy, naturalnie, o rzeczach postronnych. Droga była uciążliwa, czcionki obciągały odzienie, szelki wpijały się w ciało, pakunki w kieszeniach od palta były po biodrach, na nierównej ścieżce, pomimo ostrzeżeń przewodnika, raz po raz wpadałem na pień lub kamień. Odetchnąłem więc lżej, gdy, zlany potem, wszedłem za moim przewodnikiem w wąską uliczkę miasteczka, — byliśmy prawie u celu.

— U pani Z* świeci się — mówił X., wskazując na okno na pierwszym piętrze, z którego płynął łagodny blask na uliczkę. Chwała Bogu, pan Z* już się położył. Bylibyśmy zmuszeni w przeciwnym razie chodzić tu i czekać. Raz, tak obładowany, czekałem pół godziny, myślałem, że mię diabli wezmą.

— Czemu nie wchodzisz przy nim, przecież go znasz?

— A bibuła, która ci zewsząd sterczy, a służąca, która, nim się pan nie położy, nie usunie się z mieszkania! No, teraz cicho, możliwie cicho! — szepnął mi, wchodząc na schody. — Nie stukaj butami!

To drapanie się na schody, stąpanie na palcach nóg z ciężarem w kieszeniach i ze strachem w duszy, że się skądś wyłoni ktoś z mieszkańców domu, — było chyba najprzykrzejszym przejściem, jakie miałem w życiu. Drewniane schody w dodatku skrzypiały od czasu do czasu. Człowiek by chciał, by w tym czasie grzmiało na dworze, wyla zawierucha i zagłuszała te nieznośne skrzygnięcia.

— Za kogoby nas wzięto, — myślałem, — gdyby tak nas kto zoczył wkradających się, jak złodzieje, do cudzego domu? I ten człowiek przebywa tę drogę kilka razy na tydzień!..

Nareszcie jesteśmy na galeryjce, wiodącej do mieszkań urzędniczych. Czyżby trzeba było po tej galeryjce pod drzwiami się przekradać?

Nie, na szczęście mój towarzysz zatrzymał się przy pierwszych drzwiach i lekko zapukał. Drzwi natychmiast się otworzyły — widocznie nas czekano. U progu stała niemłoda, szczupła blondynka ze smutnym, lecz łagodnym wyrazem twarzy. Palec położyła na ustach i wskazała pokój na lewo. Jak cienie, wsunęliśmy się do pokoju, gdzie mój towarzysz wziął mnie za ramię i doprowadził do jakiegoś łóżka. Siedliśmy na nie.

— Jeszcze nie zasnął, — szepnął mi do ucha, — może i służąca jest.

W istocie — usłyszeliśmy kobiece głosy w przedpokoju. Jak tylko drzwi za galeryjką skrzypnęły, mój towarzysz podskoczył, jak piłka, i na palcach nóg szybko podbiegł do drzwi pokoju, — nasłuchiwał, po chwili wrócił do mnie.

— Jeszcze nie — szeptał, — słyszałem, jak pani Z* mówiła, żeby służąca podrzuciła węgli do samowaru — chce gości poczęstować herbatą.

Nareszcie po kwadransie siedzenia w ciemnym pokoju ujrzeliśmy panią Z*, która z lampą w ręku weszła do nas.

— Oswobodzę już panów z niewoli — mówiła z uśmiechem, podając rękę memu przyjacielowi.

— Towarzysz z Warszawy — przedstawił mię X.

— Proszę na herbatę, pewnieście zmęczeni.

Chcieliśmy się wymówić, lecz wreszcie ustąpiliśmy gospodyni. W następnym pokoju na stole szumiał samowar, stały szklanki, talerze i przekąska.

Jedliśmy i piliśmy w milczeniu; drzwi do dalszego pokoju były otwarte. Stamtąd od czasu do czasu dawało się słyszeć jakieś chrapanie, zgrzytanie zębami, niewyraźne mruczenie. Ani pani Z*, ani mój przyjaciel nie zwracali na to najmniejszej uwagi.

Po kolacji wróciliśmy do pokoju, do któregośmy weszli z przedpokoju. Był to, jak mi wytłumaczył mój towarzysz, pokój córki państwa Z*.

— To mój skład główny — mówił mi X. z dumą. — Spójrz!

Wyjął z kieszeni wiązkę kluczyków i otwierał szuflady komody. Były napelnione bibułą.

— No, teraz pakować! Jutro pojedziesz z panią Z*. Ona jedzie do Warszawy. Ja odprowadzę was do stacji kolejowej. Dla powagi i ochrony weźmiemy z sobą tego kiepskiego wariata, pana Z*. Jego nikt nie ruszy! Tym razem pojedziesz, jak wielki pan, nie jak biedny rewolucjonista, chowający się przed wzrokiem każdego ugwiażdżonego durnia moskiewskiego. Ale za to zabierzesz niemało. Wpakuję ci oprócz «Przedświtu» i czcionek jeszcze pudzik bibuły agitacyjnej. Zgoda? Przecie tej brak wam zawsze.

Wysunął na środek kosz i parę waliz. Składaliśmy w nie książki, czcionki położyliśmy na sam spód kosza. Szuflady w komodzie powoli wypróżniały się. Mój towarzysz zacierał ręce i mruczał, robiąc od czasu do czasu notatki.

— Sto «Ojca Szymona». No, no! Nic już u mnie nie zostało. A widzisz, że trzeba wypisać pięćset, nie trzysta, jak wy chcecie! Dwadzieścia «W kwestji żydowskiej». Choć Marks pisał, ale rzecz nudna, — wystarczy dwadzieścia. Co?

Kiwnąłem głową na znak zgody.

— Sto «Katolika», — mruczał, biorąc do ręki związaną paczkę broszury «Czy socjalista może być katolikiem». — Słyszałem, że w Radomskim tej broszury wiele idzie. Może dodać ci jeszcze pięćdziesiąt? Taka cieniuchna!

— Dosyć i sto, mamy tego jeszcze na składzie. Czy masz jeszcze «Pańszczyzny?»¹⁾ Tej nam zabrakło.

— A co! mówię wam zawsze, że za mało wypisujecie. Mam jeszcze u siebie kilkadziesiąt — mówił nieco smutnym tonem, — ale czy to wystarczy?

— Wypisaliśmy już ją na granicę Y-ka. Na razie wystarczy i kilkadziesiąt. Dawaj!

¹⁾ Broszura Michała Luśni (Kazimierza Krauza) «Czy teraz niema pańszczyzny», przeznaczona dla chłopów.

— Et, kiedy to przez Y-ka przejdzie! Wiem, zjedzą tam bibułę myszy, nim stamtąd wyciągniecie. Słuchaj, dodam do obstalunku jeszcze setkę lub dwie «Pańszczyzny». Jak sądzisz?

Nareszcie skończyliśmy. Obejrzałem się po pokoju. Wszędzie było pełno książek, małych i dużych, w różnokolorowych okładkach. Na środku stał kosz, do połowy naładowany temiż książkami, walizki otwarte, lecz pełne bibuły, a nad tym wszystkim schylony człowiek z błogim uśmiechem na ustach. Drzwi do sąsiedniego pokoju były w pół-otwarte i stamtąd dołatywały ciche, lekkie kroki pani Z*, która chodziła po pokoju, i chrapliwe mruczenie śpiącego gospodarza domu. Do tego ja sam, bezimienny towarzysz z Warszawy, gospodarzący w pokoju kilkunastoletniej panny, nieznaney mu wcale.

Dziwaczny ten obrazek z życia ludzi, których związał los i idea, zostanie w mej pamięci na zawsze.

Pożegnaliśmy panią Z* po uprzątnięciu z pokoju rozrzuconych książek. Nazajutrz rano mieliśmy przyjść do niej na śniadanie i zaraz po śniadaniu ruszać w drogę.

Znowu te przekłete schody, po których schodziliśmy tak samo ostrożnie, jak przed paru godzinami wchodziliśmy na nie. Wyszliśmy na uliczkę i skierowaliśmy się ku fabryce.

— Słuchaj! — rzekłem — ciebie tu prawdopodobnie podejrzewają o romans z panią Z*? Bo jak ludzie sobie wytłumaczyć mogą te częste stosunki twoje z nią, a nie bez tego, żeby cię kto nie widział wkradającego się do niej wieczorami.

— Nie wiem, — odpowiedział zażenowany, — może. Ale cóż ja na to poradzę? U siebie przechowywać bibuły nie mogę. W razie złego wypadku ze mną, zostanie przynajmniej bibuła, już przeciągnięta na tę stronę. Nic na to nie poradzę, — powtórzył. — Pocieszam siebie tym, że za rok najdalej to się skończy, mąż jej otrzyma już emeryturę, no i, naturalnie, wyjadą stąd. Jak ja wówczas urządzę się ze składem, doprawdy nie wiem. Z pewnością nie będzie tak wygodnie.

— Wygodnie! Ależ niech cię pioruny biją, człowieku! Co ty nazywasz wygodnym? Czy nie te skrzypiące schody do pani Z*?

— Schody, jak schody, — odpowiedział z rezygnacją mój towarzysz, — ale bezpieczeństwo bibuły zupełne i względna łatwość wywiezienia jej stąd. Ja nie mogę sobie pozwolić na częste wyjazdy — zwraca to uwagę i mam zresztą służbę. Pani Z* łatwiej to uskutecznia. A oprócz tego pani Z* nie tchórzy i to moja największa wygrana. Wolę iść nocą na trzecie piętro po takich schodach do człowieka, który się nie boi, niż

mieć do czynienia z bałwanem, opanowanym drżączką. Miałem tu takiego idiotę!

— Wyobraź sobie, — mówił z wzrastającym oburzeniem, — co ten bałwan mi urządził!? Trzymam się tej zasady, żeby u siebie bibuły nie mieć. Praca w fabryce i służba w P. P. S. zmusza mnie do częstego wychodzenia z mieszkania, nieraz muszę kogokolwiek z interesantów zostawić u siebie w pokoju. Nawet porządniejszych książek legalnych u siebie nie trzymam, a cóż dopiero bibułę! Nim więc nie urządziłem składu u pani Z*, musiałem rozsyłać pakunki do różnych znajomych. A ten idiota — był to mój krewniaczek, sprowadziłem go nawet umyślnie na praktykanta do fabryki, no i do P. P. S. — wiedział o mojej robocie, okazywał współczucie. Dałem mu dwa czy trzy pakunki do przechowania. Akurat nie było mnie w domu — wyjeżdżałem wówczas do Warszawy — przyjechał tu do miasteczka prokurator z żandarmem. Jak się potem okazało, przyjechali zrobić rewizję u chłopca okolicznego, który gdzieś po pijanemu wyłajał cara. A u mego krewniaczka odrazu wszystkie pchły pozdychały ze strachu. Miał u siebie bibułę, więc był przekonany, że to właśnie dla niego przyjechał żandarm. Opanowała go taka idiotyczna drżączka, że pod wieczór wyniósł pakunki do lasu i zakopał, a ze strachu zapomniał potem, w którym miejscu. Teraz wciąż się boję, że ktokolwiek wypadkiem na bibułę zakopaną natrafi, dojdzie to do władzy i zwróci uwagę na nasz kąt.

— I wiesz, — dodał ze złością, — ta logika tchórzów! Pytam go, czemu lepiej nie spalił bibuły? Powiada, że był przekonany, iż przyjechali do niego, więc się bał palić, by dym z komina go nie zdradził. Idiota — bał się dymu, a nie bał się wieczorem włóczyć z pakunkami tam, gdzie go jako kontrabandzistę złapaćby mogli.

— Idiota! — powtórzył raz jeszcze X., widocznie nie mogący strawić zawodu, doznanego z powodu krewniaka.

— Myślałem, gdyś zaczynał, — mówiłem mu, — że będziesz mówił o N. N...

— Głupi jest, ale nie tchórz — żywo przerwał mi mój towarzysz. — Nie, nie tchórz.

— Ale powiedz mi, jak się dostałeś do serca tego śmierdzącego perfumą ananasa? Nie przez kobietę przecie?

— Przez kobietę? Nie! — śmiał się X., — ale to jest zacny chłop. Wy tam w stolicy przyzwyczajeni jesteście do ludzi mądrych. Jak wam który nie będzie za panią matką, Marksem, powtarzał pacierza o walce klas i materialistycznym pojmowaniu dziejów, to już dla was jest do niczego. Ja tu przebierać

nie mogę. N. N. o materializmie historycznym nie słyszał nigdy, a gdyby i usłyszał, to go nie zrozumie. Ale wie, że na świecie jest źle, że ludziom krzywda się dzieje. Sam się czuje również pokrzywdzony: raz — jako Polak, dwa — jako najemnik w fabryce. Ojciec jego zginął w powstaniu. A i te kobiety! Sądzisz, że którąkolwiek skrzywdził, uwiódł? Broń Boże! Zabawny człowiek! Tego jestem zupełnie pewny. Względem mnie ma pewne obowiązki. Mnie pan dyrektor trochę ceni i szanuje, a tego biedaka maltretuje; bronię więc go, jak mogę.

Podchodziliśmy już do fabryki. Mój towarzysz był zmęczony i wyczerpany, lecz widocznie był stęskniony do pogawędki z człowiekiem, bliskim mu ideą, związanym z nim wspólnością pracy, — nie chciał się ze mną rozstać.

— Może jesteś zmęczony? — pytał trochę niespokojnie, — jeśli chcesz się wyspać, idź na górę do N. N. Może nawet będzie to bezpieczniej. Co? Ja przeczytam jeszcze «Robotnika», jeszcze nie zasną!

— Nie, — odparłem, — wolę nocować u ciebie. Pogadamy jeszcze.

— Jak chcesz, jak chcesz! — mówił uradowany, — przyznam ci się, że i ja wolę być z tobą. Ale pamiętaj! — przestrzegam, — jutro obudzę cię rano, przed przyjściem stróża, który sprząta u mnie. Wyprawię cię na górę do N. N. na herbatę. Lepiej będzie, gdy ciebie razem ze mną nie będą widzieć.

Prawie do świtu trwała cicha nasza rozmowa o sprawach partyjnych. Mój towarzysz interesował się każdym szczegółem pracy, wymuszał na mnie opowiadania, rozpytywał o każdą osobę, biorącą udział w ruchu, i raz po raz powtarzał:

— Pamiętaj, gdy kto się tam u was skompromituje i będzie musiał uciekać za granicę, przysyłajcie go do mnie. Już ja go przeprowadzę szczęśliwie na tamtą stronę! Nazajutrz po przyjeździe do mnie będzie już w Krakowie. A może kto z was tam zanedo jest zmęczony, mogę urządzić tu wakacje. Mam tu znajomego szlagona. Dawno myślę, by u niego urządzić przytułek letni dla naszych. Odpoczną sobie chłopcy na trawce. Mówisz, że M. — wymienił mi nazwisko jednego z towarzyszków — jest zdenerwowany i przemęczony. Przysyłajcie go, odpocznie tutaj.

Wreszcie, zmęczeni, zasnęliśmy. Lecz już koło siódmej obudziło mię wołanie X.

— Wstawaj prędeż, za chwilę przyjdzie stróż! Już cię pewno N. N. czeka z herbatą. Umyjesz się u niego. No, ruszaj się, śpiochu!

Po chwili byłem już u N. N. i wdychałem mdły zapach

tanich perfum. N. N. był już na nogach i flegmatycznie przyrządził herbatę.

— Mało pan spał! nie wyspany pan jest, panie dobrodzieju? — cedził z wolna. — Ja to wiem, ja to rozumiem. Wielkie rzeczy państwo robicie, wielkie, panie dobrodzieju! Tyle książek, a każdą ktokolwiek przeczyta, z każdej coś będzie, panie dobrodzieju! Ja to rozumiem.

Wydał mi się nawet sympatycznym ten pulchny blondynek, nie zdający sobie sprawy z materialistycznego pojmowania dziejów, a narażający siebie i swą swobodę dla niejasnego, niewyraźnego: «Ja to rozumiem». Ucisnąłem mu serdecznie rękę na powitanie po umyciu się i zacząłem odczuwać pewnego rodzaju przywiązanie, jakie miał X. dla swych «ofiar»-pomocników.

— Więc wszystko dobrze, — powiedział N. N., — słyszałem, jakeście państwo wracali z miasteczka wczoraj wieczorem. Pan X. stanowczo zanadto się naraża, panie dobrodzieju! Niech pan zwróci jego uwagę. Pan jego przyjaciel i potrafi to zrobić. O nim już tu w okolicy gadają.

— Co gadają? — pytałem zaniepokojony.

— Za dużo się kręci, panie dobrodzieju, za dużo! To sam wyjeżdża, to ktoś do niego — ot, jak pan — przyjedzie. O! i pan dyrektor wczoraj wieczorem mnie pytał: «Kto to ten pan, co do X. przyjechał?»

— Cóż pan na to? przecie przyjechałem niby do pana.

— Toż to właśnie! I ja to dyrektorowi mówiłem. Kuzyn, panie dobrodzieju, mówię, kuzyn z Częstochowy. Ale czy uwierzy i czemu odrazu pana X. posądzał? Ciekawi tu u nas ludzie, panie dobrodzieju, ciekawi. Radzioby sąsiadowi do garnka zajrzeć, co je. A cóż dopiero nowy, nieznajomy człowiek!? Zaraz: skąd? po co? do kogo? — A pan X. gorączka, byle więcej, byle prędzej. Niech pan z nim pomówi, niech pan wpłynie. Zgubi siebie ten człowiek!

N. N. ani razu nie wspomniał o sobie i o niebezpieczeństwie, które mu grozić mogło z powodu stosunków z X. i jego przyjezdnymi towarzyszami. Widocznie nie bał się w istocie. Obiecałem mu solennie, że się z X. rozmówię.

— Jak skończymy herbatę, pójdziemy. Pan X. mi mówił rano, żebym pana odprowadził do miasteczka, żebyśmy razem koło okien pana dyrektora przeszli. Już mu opowiadałem, że pan dyrektor pytał o pana. U dyrektora dzisiaj rano wstają, brat wyjeżdża do Krakowa. Pan X. pewno tam jest.

Po herbacie wyszliśmy i według rozkazu X. przechodziliśmy koło okien dyrektora. Zatrzymaliśmy się nawet przy

nich, żeby pan dyrektor zdążył obejrzyć nas, idących razem i rozmawiających, jak dobrzy i dawni znajomi.

O dziewiątej stanąłem przed domem, gdzie mieszkała pani Z*. Przekłete schody już mnie nie straszyły, szedłem po nich śmiało, nie zważając na to, czy deski skrzypią pod moimi stopami. W przedpokoju spotkała mnie pani Z*.

— Witamy pana, czekamy na pana ze śniadaniem, pan X. już jest. Proszę!

Wszedłem do następnego pokoju, gdzieśmy poprzedniego dnia pili herbatę. Przy stole siedzieli: mój towarzysz X. i pan Z*, szczupły, wymizerowany mężczyzna z osowiałym, prawie nieprzytomnym wzrokiem.

— Mój mąż, pan S...ski — naprędce skomponowała mi nazwisko pani Z*.

Podaliśmy sobie ręce. Pan Z* nie zapytał mnie o nic, nawet nie spojrział. Oczy jego pożądliwie spoglądały na stół, zastawiony różnego rodzaju jadłem.

— Niech pan siada! — zapraszała pani Z*. — Zaraz po śniadaniu jedziemy, by zdążyć na pociąg. Obiadu pewnie jeść nie będziemy, niech więc pan się posila.

W ogólnej rozmowie, którą prowadziliśmy przy stole, pan Z* nie brał udziału wcale. Od czasu do czasu, gdy usłyszał jaką nazwę miasta lub miasteczka, przerywał jedzenie, głupkowato oglądał obecnych, namyślał się widocznie nad czymś i nagle wypalał:

— *Libawa — kurlandskiej gubernii. Wiem, morze jest...*

— *Łódź — pietrokowskiej gubernii. Wiem... fabryki jest...*

Była to, zdaje się, jedyna dziedzina, w której umysł pana Z* był czynnym. Spostrzegłem, że mu sprawiał przyjemność taki udział w gawędzie, starałem się więc w rozmowie używać możliwie wiele nazw miejscowości. Pani Z* spostrzegła to i obdarzyła mnie wdzięcznym spojrzeniem.

Nareszcie śniadanie zostało skończone, usłyszałem turkot powozu przed domem. Do pokoju wszedł woźnica, który zniósł, stękając, ciężki kosz i walizki na dół. Po chwili i my byliśmy gotowi. Pan Z*, jak manekin, dał się pokornie ubrać we wszystkie urzędowe godła i sprowadzić do powozu; nie pytał o nic, zdawał się nie zwracać uwagi na otoczenie. Siedliśmy do powozu, konie rączo unosiły nas w głąb kraju, oddalając od granicy.

Jechaliśmy w istocie, jak przepowiadał X., jak panowie. Zieloni i strażnicy przy spotkaniu powozu, widząc w nim pana Z*, o którym powszechnie wiadano, że jest krewnym niedłwie ministra w Petersburgu, oddawali nam honory, nie

domyslać się wcale, iż w powozie ukrytych jest mnóstwo rewolucyjnych wydawnictw. A mimowolny sprawca tych honorów, gwarantujący bezpieczeństwo naszej wyprawie, kiwał się bezmyślnie w powozie, wyrzucając niekiedy z siebie:

— *Busk? Kieleckoj gubernii... Tam wody jest'...*

— *Czenstochow? Pietrokowskoj gubernii... Tam monastyr' ¹⁾ jest'.*

*
*

Tak mniej więcej wyglądają partyjne biura transportowe.

Widocznym jest dla każdego, że kierowanie takim biurem polega przede wszystkim na ciągłym wyzyskiwaniu każdej nadarżającej się okoliczności, na łączeniu różnych okazji w pewien system, na misternej robocie kombinowania drobiazów i szczegółów z życia całego otoczenia.

Tylko przy takich warunkach i przy uzdolnieniu do takiej właśnie roboty można produkcyjność granicy doprowadzić do wyższych rozmiarów i zabezpieczyć przetransportowaną już bibułę od wpadnięcia w ręce żandarmów i zielonych. Zapomniana na stole broszura, źle wybrana pora wyjazdu, niedostrzeżenie jakiegokolwiek zmiany w systemie strzeżenia granicy przez zielonych, nieprzyjęcie pod uwagę osobistych zalet lub wad ludzi wchodzących w grę przy transportach — wszystkie te drobnostki stanowią mogą o powodzeniu roboty, wszystkie doprowadzić są w stanie do zwrócenia uwagi na człowieka lub rzeczy, z nim związane, a każda z nich sprowadzić może wyspę granicy i aresztowanie jej kierownika.

Jeżeli do tego dodamy, że warunki życia osobistego są **zazwyczaj** wcale nieszczególne, albowiem większa część granicy państwa — to wiejska lub miałomiasteczkowa pustynia kulturalna, połączona z najgłupszymi plotkami, z niskim poziomem oświaty i życia towarzyskiego — zrozumiemy, jak trudnym jest stanowisko towarzyszków, którzy tej pracy się poświęcają. Wieczna czujność i zwracanie uwagi na najmniejsze drobiazgi jest ich obowiązkiem, ciągle granie komedii i udawanie jest ich cnotą, a nudy, brak towarzystwa i rozrywki jest najczęściej ich udziałem.

Nic dziwnego, że praca taka nuży ludzi śmiertelnie, wyczerpuje szybko ich siły nerwowe. Zdaniem moim, na idealnego transporciarza trzeba się urodzić. Nie dosyć bowiem poznać dokładnie stosunki pograniczne w ogóle i warunki lokalne w szczegółach, nie dosyć mieć wytrzymałe nerwy i zdol-

¹⁾ Klasztor.

ność do zachowania spokoju wobec nieraz pozornego, lecz zupełnie widocznego niebezpieczeństwa, trzeba jeszcze posiadać specjalne dane, specjalne odpowiedniki w duszy, by umieć zlewać się niejako z otoczeniem, lecz zlewać się świadomie, trzymając wiecznie rękę na pulsie, słabo, co prawda, tętniącego, ale na swój sposób złożonego życia na pograniczu. Rzecz prosta, o takich ludzi nie łatwo, nie łatwo tym bardziej, że tacy szwarcownicy z urodzenia wychodzą najczęściej ze środowiska odpowiedniego, z pogranicza, a jak już nieraz wskazywałem, pogranicze z wyjątkiem kilku punktów należy do miejscowości najbardziej głuchych i zatem najmniej przystępnych dla propagandy i organizacji rewolucyjnej.

Ze wszystkich zadań, które ma na swej głowie transporciarz, najtrudniejszym do systematycznego zorganizowania jest wywiezienie bibuły, już przetransportowanej przez granicę, dalej — w głąb kraju. Gdyby chodziło jedynie o przeniesienie bibuły przez granicę i ukrycie jej na czas pewien w bezpiecznym względnie miejscu, to prawdopodobnie przyływ bibuły z krajów swobodnych do Polski byłby kilka razy większym, niż obecnie. Lecz bibułę nie po to się sprowadza, by leżała w składzie nadgranicznym. Trzeba ją stamtąd wywieźć, by doszła ona do rąk jej konsumentów.

Nie będę tu wchodził w szczegóły co do przeszkód, jakie bibuła i ludzie, ją przewożący, mają do zwalczenia na tej drodze — będzie to treścią następnego rozdziału. Zatrzymać się jednak muszę na stosunku biur transportowych ze światem partyjnym, bo te właśnie stosunki ogromnie utrudniają ich robotę. Sam transporciarz lub jego pomocnicy są przywiązani do miejsca. Będąc zmuszeni zachowywać wszelkie pozory, nie mogą oni poruszać się swobodnie i ich rzadkie wyjazdy nie są w stanie zapewnić większej produktywności granicy partyjnej. Koniecznymi więc są przyjazdy postronnych ludzi dla zabrania nagromadzonej bibuły. Rzecz prosta, że zwraca to uwagę otoczenia i nasuwać może myśl o kontrabandzie, fachowo przez przejezdnych uprawianej. Naturalnie, przy szczęśliwym zbiegu okoliczności, gdy łatwo upozorować częstsze zjawianie i znikanie obcych ludzi, granica może przetrwać długo. Najczęściej jednak tak nie bywa i granice zużywają się: zużywają się i przez wyczerpanie sił towarzyszyw-transporciarzy, i przez obawę nadużycia jej.

Stąd pochodzi wieczna pogoń za granicą, wieczne wyszukiwania nowych dziur w chińskim murze, opasującym imperium cara; stąd konieczność użytkowania z granic, źle urządzonych lub działających tylko sporadycznie; stąd wreszcie

często odczuwamy głód bibulasty — brak jej w tym lub owym miejscu, w tym lub owym czasie. Granica, dobrze urządzona, dokładnie funkcjonująca, jest tym ideałem, do którego się wiecznie dąży i który ustawicznie z rąk się wymyka, a staranie się o nią i jej urządzenie stanowi jedną z najpoważniejszych trosk partyjnych.

TRZECIA LINIA GRANICZNA

Trzecia linia graniczna jest jedną z oryginalnych, najzupełniej swoistych rosyjskich instytucji, wprawiających każdego Europejczyka w poniżające dla Rosji zdumienie; zdumienie, jak dla pomysłowości i bezwzględności rządu rosyjskiego, tak zarówno dla uległości ludzi, pozwalających czynić nad sobą najdziwniejsze w świecie eksperymenty. Opisywałem w poprzednim rozdziale urządzenie i działalność straży pogranicznej na pierwszych dwóch liniach. Druga linia, linia kordonów, odgranicza neutralny, że tak nazwę, pas ziemi, stanowiący właściwe pogranicze. Już nawet ta druga linia, przesiewająca raz jeszcze to, co przesiała linia pierwsza, stanowi pewną anomalię i świadczy o nieufności rządu względem ludności pogranicznej, tak zarówno i o sprawności tej pierwszej linii. Lecz w każdym razie ta druga linia ma jakieś logiczne i zrozumiałe usprawiedliwienie.

W istocie mieszkańcy pogranicza są pod niektórymi względami uprzywilejowani w porównaniu do reszty ludności państwa. Stosunki z zagranicą mają ułatwione w ogromnym stopniu. Mieszkańcy pogranicza mają prawo na tzw. półpaski lub przepustki.

Wydawane są one na osiem dni, a nawet na szereg tygodni bezpłatnie. Służą one jako legitymacja, nie na wielką, co prawda, przestrzeń, bo zaledwie na trzy mile w głąb obcego państwa. Lecz że najczęściej ani Austriacy, ani Prusacy nie obciążają siebie zbyt dużą dla nich kontrolą pod tym względem, można uważać półpaski jako istotne paszporty zagraniczne. Oprócz tego półpaski mają tę zaletę, że szczęśliwy posiadacz takiego dokumentu może przechodzić granicę tam i z powrotem niezliczoną ilość razy w ciągu trwania przepustki bez zmiany jej za każdym przejściem granicy.

Przeciwnie, paszporty zagraniczne dalszych okolic żądanych z wyliczonych zalet nie mają. Są drogie i służyć mogą